

IWAN FRANKO



MOJŻESZ

Burchard & Tyrsa



IWAN FRANKO  
MOJŻESZ



IWAN FRANKO  
MOJŻE SZ

Burchard & Tyrsa



## **DLACZEGO podjąłem się przełożyć „MOJŻESZA”?**

Żyjemy w wieku przeładowanym informacją. Wprawdzie informacją jest wszystko, co da się zanotować zmysłami i przetrawić w mózgu. Świadomie, czy nieświadomie, mniejsza o to. Jednakże etykieta „informacja” sprawia, że się najeżamy i z góry ograniczamy nasz umysłowy jadłospis. Reszta to szum informacyjny, rzeczy niegodne uwagi.

Czytanie klasyków męczy, są trudni, nudni i nigdy nie wiadomo, o co im właściwie chodzi. Szkolny ogród udręczeń byłby nie do wytrzymania, gdyby nie dobrzy wujkowie od opracowań. Serce rośnie, gdy oglądamy rosnące szeregi „bryków”. Umiesz czytać? Bardzo dobrze. Myśleć? Nie próbuj. Rola pracy umysłowej w procesie ucłowieczenia... Tfu, tfu, apage satanas... Kogo i po co ucłowieczać? Jest przecież gotowy Homo oeconomicus — Człowiek, który robi tylko to, co mu się opłaca, w ostatecznym rachunku — nic.

Więc co zrobić z Iwanem Franko i z jego „Mojżeszem”? Upchnąć na półeczce z klasykami, z fiszką „nieobowiązujące”? Zaszeregować obok „Skarg Jeremiego”? Kornela Ujejskiego w dziale „motywy biblijne”? Umieścić na szczycie rewolucyjnej fali roku 1905?

Mamy rok 1991, za sobą — wciąż jeszcze nie kończące się gigant-seriale historii, jatki za jatkami, wstyd za wstydem, rozczarowanie za rozczarowaniem. Pismo Święte drukuje się w nowych wydaniach i dodatkowych milionach nakładu, ale czy i jak je czytamy?

Spróbujmy wyczytać, co wyczytał w Nim Iwan Franko — wielką metaforę Narodzin Narodu. Spróbujmy przeżyć tamten moment, tamten punkt przecięcia świadomości z rzeczywistością w wyobraźni poety. Pod tymi długościami geograficznymi, chociaż nie w identycznych przedziałach czasu rodzili się nie tylko Ukraińcy. Rodzili się do samodzielnego bytu Finowie, Estowie, Łotysze, Litwini, Białorusini, Słowacy, Czesi, Węgrzy, jak również my, Polacy — ci, co nie zmieścili się w granicach narodu szlacheckiego, ale okazało się, że każdy ma swoją duszę nieśmiertelną, mówiącą swoim językiem. Posłuchajmy jej głosu.

*Jerzy Litwiniuk*



MOJŻESZ



Narodzie mój, strudzony i rozdarty  
Jak paralityk, który stracił drogę,  
Pogardą ludzką niby trądem zżarty!

Duch mój o jutro twoje zdradza trwogę.  
Z przyczyny wstydu, co rumienić lica  
Będzie potomnym, ja dziś spać nie mogę.

Zali pisano ci na praw tablicach,  
Byś dla sąsiadów był podściółką zgniłą,  
Zaprzęgiem, który popędza woźnica?

Zali na wieki sądzone ci było  
Taić nienawiść, udawać pokorę  
Dla wszystkich, którzy podstępem, czy siłą

Spętali cię i zhołdowali w porę?  
Zali jednemu tobie nie przystało  
Być własnych losów, własnych dzieł autorem?

Zali na próżno tyle serc pałało  
Miłością ku twojej sprawie najgorętszą  
Na ołtarz kładąc duszę swą i ciało?

Zali na próżno kurhany się piętrzą  
Twych bojowników? Zali nie zakwitnie  
Kraj pięknem, zdrowiem, swobodą młodzieńczą?

Zali na próżno w słowie twym dobitnie  
Brzmi moc, łagodność, humor i prostota,  
Wszystko, co ducha wzwyż pociąga szczytnie?

Na próżno w piersi twojej łka tęsknota,  
Gra śmiech i dźwięczą skargi miłowania,  
Nadziei smuga, radość szczerozłota?

O nie! Nie tylko łzy i narzekania  
Tobie sądzone! Ja wierzę w moc ducha  
I w dzień świąteczny twego zmartwychwstania.

Jak oddać chwilę, która słowa słucha,  
Słowo, co w chwilę tę błogosławioną  
Uzdrowia i żywiącym ogniem bucha!

Jak wskrzesić pieśń płomienną i natchnioną,  
Która uskrzydli i za sobą chwyci,  
Wskazując drogę zbawienia milionom!

Gdybyż! My jednak, troskami przybici,  
Powątpiewaniem targani i wstydem,  
Jakież rozsyłać tobie mamy wici?

Lecz przyjdzie chwila, gdy ognistym zwidem  
W wolnych narodów zajaśniejiesz zborze,  
Kaukazem wstrząśniesz, wesprzesz się Beskidem,

Wolności gwar nad Czarne rzucisz Morze,  
Popatrzysz jak gospodarz pośród dzieł  
Po domu swoim, polu i komorze.

Ten śpiew, choć łzą zroszony, na ostatek  
Niosący wiarę, wolny, chociaż wdowi,  
Przyjmij ode mnie jak skromny zadatek

Jutra i wiano twemu geniuszowi.

20 lipca 1905

# I

Lat czterdzieści błądzili w pustyni  
Mojżeszowi stronnicy,  
Aż dotarli do góry, za którą  
Leżał łąd obietnicy.

Tutaj piasek spalony i rdzawy,  
Grunt Moabu bezwodny,  
A tam dalej dąbrowy, murawy,  
Jordan modry i chłodny.

Na jałowych tutejszych wypasach  
Lud wybrany się tłoczy,  
Ale jakoś mu sił nie wystarcza,  
by tę krawędź przekroczyć.

Między stertą dziurawych wołoków  
Obozują mizernie,  
A ich woły i osły z nałogu  
Żują osty i ciernie.

Że kraina wyśniona i bliska  
Z tamtej strony gór leży,  
Że w niej szmaragd i szafir rozbłyska,  
Żaden z nich nie uwierzy.

Lat czterdzieści malował im prorok  
Siłą słowa przeróżną  
To dziedzictwo, co na nich czekało,  
Ale wszystko na próżno.

Lat czterdzieści bieg wód krystalicznych  
Wśród zielonej doliny  
Prześladował i wabił ich niczym  
Błędny majak pustynny.

Sprzeniewierzył się naród i szemrze:  
"Wierz tu, bracie, prorokom.  
Człowiek żył na pustyni i zemrze.  
Na cóż czekać i dokąd?"

Wyczekiwać przestali, pożądać  
Drogi dokąds w nieznane,  
słać zwiadowców i sami wyglądać  
za gór garby miedziane.

W moabickich wąwozach i grotach,  
Gdzie żar ziemię spopiela,  
Dzień po dniu w swoich lichych namiotach  
Drzemie lud Izraela.

Jeno żony ich przędą i pieką  
Na wieczerzę koźlęta,  
Jeno ciernie i osty z nawyku  
Żują senne bydłęta.

Jeno dziatwa nieletnia na stepie  
Baraszkuje wspaniale:  
Stacza bitwy, ogradza winnice,  
Wznosi miasto na skale.

I niejeden raz senni ojcowie  
Potrząsają głowami:  
"Skąd pomysły takie u nich w głowie?" —  
Zdumiewają się sami.



”Przecież ich do tego na pustyni  
Żaden z nas nie zachęca!  
Czyżby słowa proroka przejęła  
Krew i dusza dziecięca?”

## II

Jeden tylko w swym namiocie starzec  
Oczu snem nie spowija  
I na skrzydłach tęsknoty i marzeń  
Nad górami się wzbija.

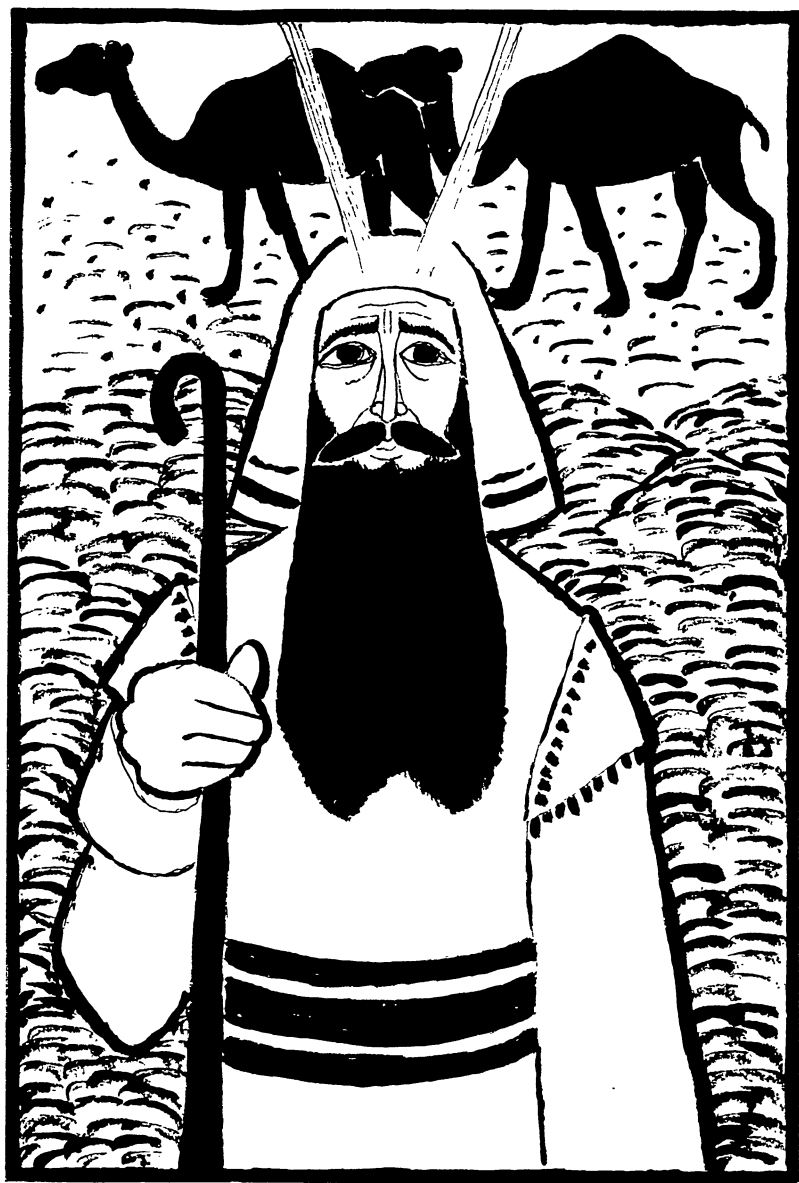
Mojesz, ów starowina niemocny,  
Co już przestał być sędzią,  
Co bez trzód i kobiecej pomocy  
Tkwi nad grobu krawędzią.

Oddał wszystko, co miał, pochłonięty  
Myślą jedną — jedyną:  
Gorzał dla niej i jaśniał, zawzięty,  
I żył dla niej, i ginął.

Z poniewierki w Micraim swój naród  
Wyprowadził jak burza,  
Oswobodził dźwigaczy ciężarów  
Z powinności przedmurza.

Tylekroć na wyżyny porywał  
Ich umysły i serca  
Jako dusza pospólnej ich duszy  
I natchniony przezierca.





I na falach ich dusz kołychliwych  
W dniach rozterki i bólu  
Tylekroć się pograżał wraz z nimi  
W głębokości Szeolu.

Ale teraz zabrakło mu głosu,  
Opuściło natchnienie  
I nie słucha słów pełnych patosu  
Trzeźwe już pokolenie.

To o ziemi obiecanej hasło  
Między bajki zaliczą;  
Mięso trzód ich, a z nim ser i masło  
Są jedyną zdobyczą.

Że się dziadkom i ojcom zachciało  
Przez pustynię pochodu,  
To ich zdaniem był błąd i głupota,  
I nieszczęście narodu.

Między nimi Abiram i Datan  
Dziś gardłują najbardziej:  
"Któż — pytają proroka — dla naszych  
Kóz tam trawę wynajdzie?"

Kiedy każe im iść, odpowiedzą:  
"Nie podkuliśmy koni",  
Gdy im kraj opisuje za miedzą, —  
"Lud potężny go broni."

Gdy im cel chwalebny uprzytomni, —  
"Już jesteśmy u celu",  
Gdy o Bożym nakazie przypomni, —  
"Cicho bądź kusicielu."

Gdy zagroził im prorok, że Jahwe  
Może skarać ich jeszcze,  
Abiram mu po prostu zabronił  
Głosić słowa złowieszcze.

Datan zasię podburzył gromadę  
Modląc się do Baala  
I uległe mu taką zasadę  
Zgromadzenie uchwała:

”Ten, kto się prorokiem zamianuje  
I bez ładu gaworzy,  
Nierozsądnym ludziom obiecuje  
Łaskę albo gniew Boży,

Kto do buntu naród śmie podżegać  
I nakłaniać ku zdradzie,  
Wyprowadzać z góry, naprzeciw  
Ostatecznej zagładzie,

By odstraszyć wszystkich, co zaiste  
Są mrzonkami zatruci,  
Niechaj oplwa go Izrael wszystek  
I kamieniem obrzuci”.

### III

Zelżał skwar. Ścianą cienia narosłą  
Noc zbliżała się błoga:  
Palił się nad górami nieboskłon  
Jak odległa pożoga.

Niby deszczu złotego z niebiosów  
Doczekali się chłodu,  
Przebudziło się życie w namiotach  
Tułaczego narodu.

Zwolna, płynnie stąpając, przechodzą  
Ścieżką w skalnej kotlinie  
Czarnookie Hebrajki z biczami,  
Unoszące naczynie,

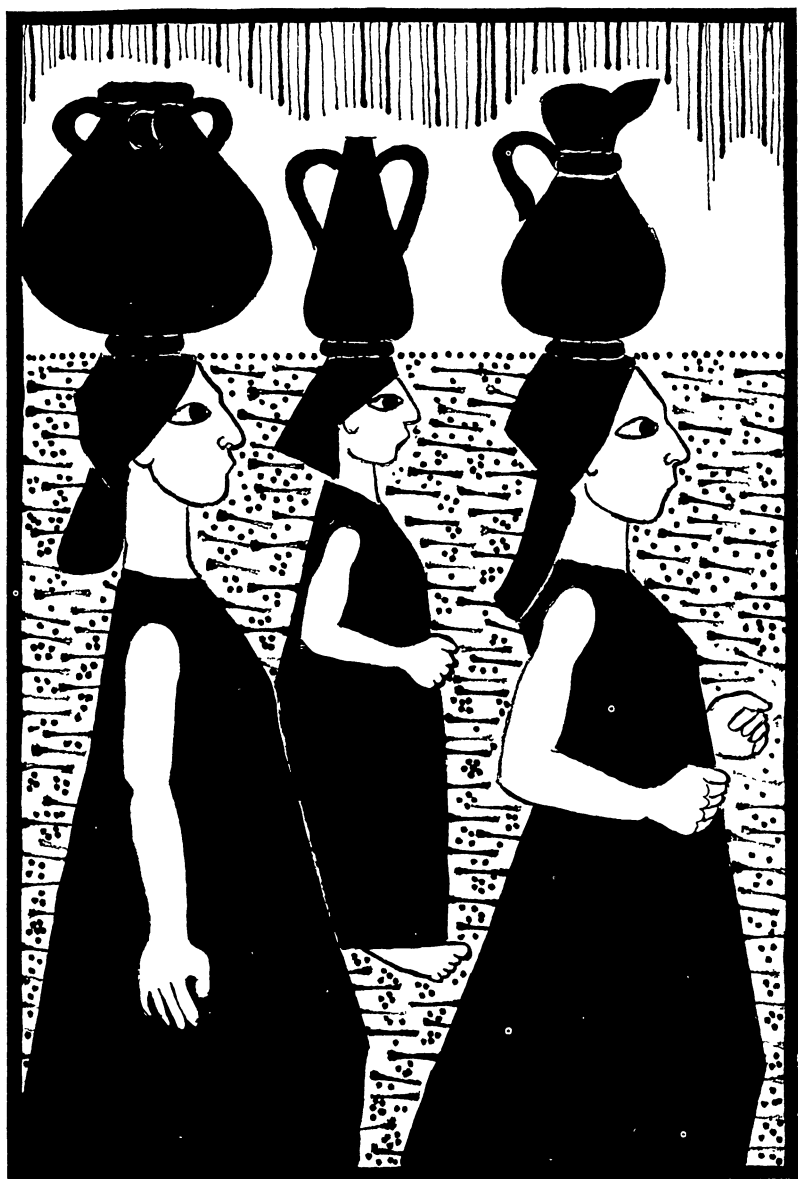
Dzban gliniany na głowie, daleko  
By napełnić go w źródłu,  
W ręku mają bukłaki na mleko  
Z wieczornego udoju.

Jak zające harcuje po stepie  
Niedorostków gromada,  
Kłóć się, który biega z nich lepiej,  
Celniej z łuku się składa,

To niemowlę zakwili, to głosy  
Dziewcząt się rozchichocą,  
Smętną skargą ktoś przejmie niebiosy  
Jak pustynia przed nocą.

Także starszych już — ojców i dziadów  
Sen się dłużej nie ima,  
A ocknąwszy się — góry, step nagi  
Baczenie mierzą oczyma.

Czy wataha najeźdźców nie kroczy  
Mgłą spowita żółtawą?  
Czy się bies od południa nie toczy  
Niebosiężną kurzawą?



Wszakże nic nie mąciło spokoju,  
Płynął rozmów tok cichy:  
"Coraz mniej owce dają udoju  
I przychówek też lichy.

Skały z cierni i ostów odarto,  
Że i osioł nie spyska.  
Nie czekając uciekać stąd warto  
Na soczystsze pastwiska.

Abiram do Madianu iść kusi,  
Datan ku dalszym stronom.  
A cóż Mojżesz? A nic — milczeć musi,  
Gdy mu głosu wzbroniono."

Raptem zgiełk się rozpoczął i rozruch,  
Wrzawa zewsząd dochodzi  
I na majdan z całego obozu  
Biegną starzy i młodzi.

Co takiego? Czy wróg stada żenie,  
Zwierz w pułapce się miota?  
Nie, to Mojżesz! Gdy ujrzą go, drzenie  
Przeleciało w namiotach.

Choć go lata i troski zdołały  
Zgiąć i mocy pozbawić,  
W chmurnych oczach coś jeszcze się pali  
Niczym para błyskawic.

Choć siwizna jaśniejsza od śniegu  
Zdobi go w aureolę,  
Jednak pasma strzelają z niej w niebo  
Niczym rogi na czole.

W górę placu się pnie, gdzie odludnie  
Stoi namiot przymierza,  
Wschód i zachód, północ i południe  
Czworgiem rogów uderza.

Skrzynia, w złotą okowana blachę,  
Zasłon skryta jest gęstwą,  
W skrzyni leżą przykazania Jahwe,  
Wolność, a z nią zwycięstwo.

Ale dawno zamknięte są dźwierze  
Do świętego przybytku,  
Dniem i nocą obawa ich strzeże  
Niczym brytan dobytku.

Jeno głaz leży wielki nadzwyczaj  
Pod namiotem od wschodu,  
Z niego to nakazuje obyczaj  
Zwracać się do narodu.

Na ten głaz starzec wspina się śmiało,  
Aż zatrwoży się rzesza:  
Czyżby znów wbrew powziętym uchwałom  
Słuchać mieli Mojżesza?

I musieliby skruszyć, podeptać  
Jak pień drzewa spróchniały  
Tego, w którym już dwa pokolenia  
Ojca ludu widziały?

Już przed innych Abiram wybiega  
Purpurowy ze złości,  
W środku zaś Datan szeptem podżega  
Jak zły duch społeczności.

## IV

"Głupio-ście w dniu wczorajszym radzili,  
Moja dziatwo nieboga,  
Niechże taka was dojdzie w tej chwili  
Moja pierwsza przestroga.

Umyśliliście zamknąć pieczęcią  
Usta, co gromić skore,  
Jednak ja dzisiaj wbrew waszym chęciom  
Głos wyroczny zabiorę.

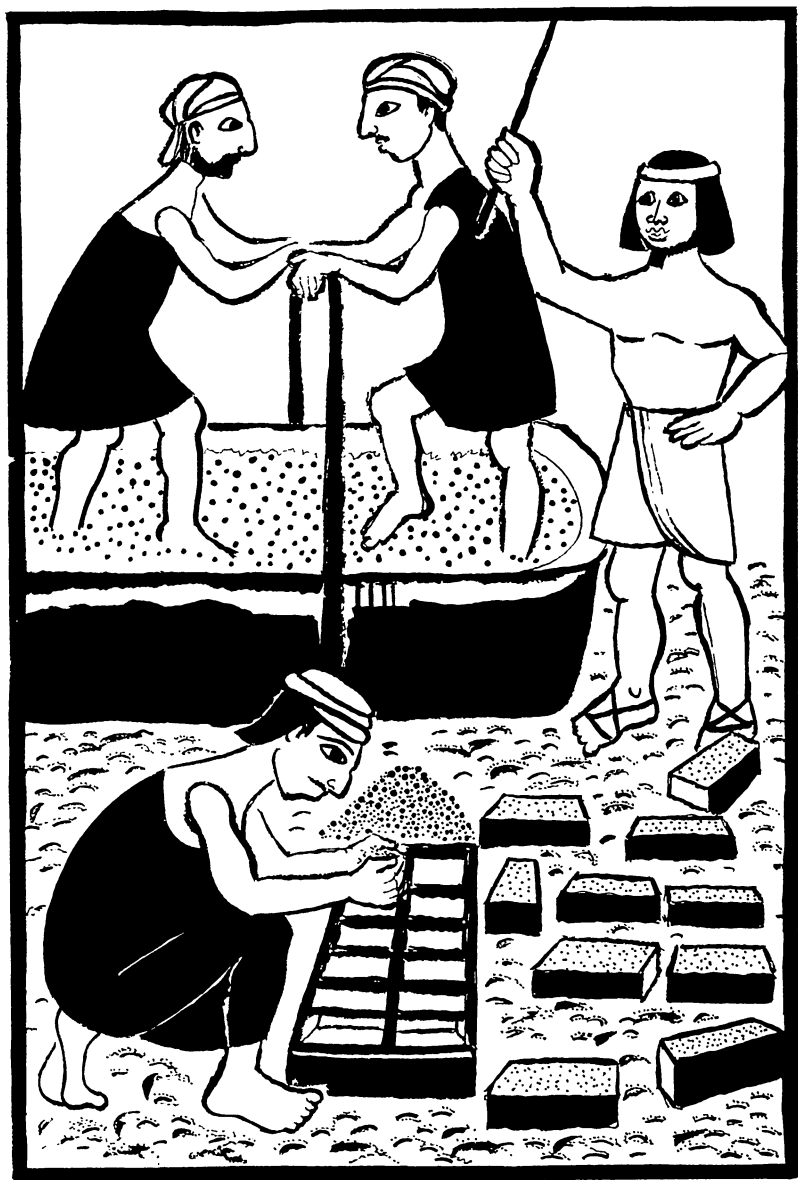
Zważcie to i do serca przyjmijcie,  
Ślepe wy pokolenie,  
Że jak ducha żywego stłumicie,  
Wołać będą kamienie.

Poprzysięgliście zgłuchnąć w zapale  
Nie na mój, nie kaleki  
Stojącego nad grobem głos — ale  
Żyjącego Na Wieki.

Strzeżcie się, bo gdy On osobiście  
Słowa swoje powtórzy,  
Stokroć głośniej brzmieć będą, siarczyście  
Jak w pustyni grzmot burzy.

Od tych słów Jego góry się trzęsą,  
Rozstępuje się ziemia,  
Wasze serca zaskwierczą i skręca  
Się jak liść wśród płomienia.





Wczoraj żeście bunt wszelki przekleli  
Klątwą, co wam nie służy.  
I pomimo tych klątw beznadziejnych  
serce wasze się burzy.

Bowiem Bóg w jęgo wnętrzu założył  
Niczym zaczyn do dzieży  
Twórczą moc — i Głos zmusi was Boży  
Tam iść dokąd należy.

Wczoraj szczęścia wydały się szczytem  
Pokój, cisza wam błoga,  
A czy rozum o zdanie się pytał  
Swego stwórcy i Boga?

Zali On do spokoju powołał  
Z miasta Ur i Harranu  
Abrahama z plemieniem, by poszli  
W stronę łąk Kanaanu?

Dla spokoju doliną Jordanu  
Wiódł ich wokół miejsc tyłu?  
Siedem lat chudych pędził uparcie  
Na daleki brzeg Nilu?

Gdyby dla was spokoju zapragnął,  
Jaki trup miewa w krypcie,  
Kładlibyście jak woły kark w jarzmo  
Aż do dzisiaj w Egipcie.

I tak mówię wam, jak do tej pory:  
Nie od siebie, lecz z władzą,  
Byście zrozumieli, że się spory  
Z Bogiem na nic nie zdadzą.

Bo napięta jest Pańska cięciwa  
I wygięło się drzewce,  
Na nim strzała niewielka spoczywa —  
Wy tą strzałą jesteście.

Kiedy strzała w wybrany cel godzi,  
Zaostrzona do ciosu,  
Zali strzale orzekać się godzi:  
"Spokojnego chcę losu?"

A że tutaj przysięgliście wczoraj  
Niczym sejmik niewieści  
Gróźb nie słuchać ni próśb, jakie prorok  
Uszom waszym obwieści —

Przeto dzisiaj słuchajcie mnie, bowiem  
Jako prorok przychodzę:  
To, co zdarzyć się musi, zapowiem  
W obietnicy, w przestrodze.

I wy słuchać musicie, choć zimnym  
Żądłem złość was przebija,  
Chciałbym wiedzieć, gdzie pierwsza się wzniesie  
Ręka na mnie i czyja?"

## V

Skoro słuchać nie chcecie już więcej,  
Jak miłuje was Jahwe,  
To do baśni słuchania zachęcę  
Was niemądrych jak dziatwę.

”Kiedyś drzewa pospołu się zeszyły,  
Bo był dzień zgromadzenia:  
”Króla dzisiaj nad sobą wybierzmy  
Wedle swego życzenia.

By ostoją był dla nas i chlubą,  
Pewnym poręczycielem,  
Żeby panem był naszym i sługą,  
Naszą drogą i celem”.

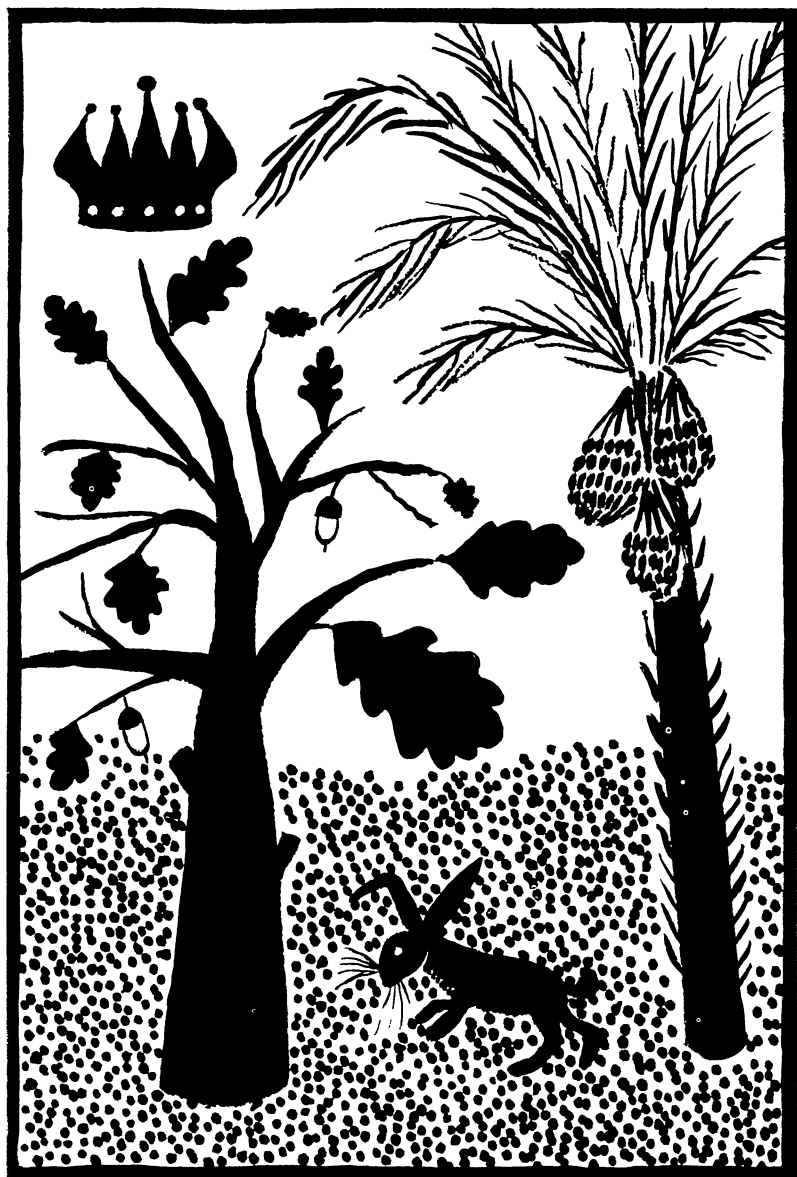
Rzekli jedni: „Skoro się przychodzi,  
By wyrazić swe zdanie,  
Niech nam odtąd na wieki przewodzi  
Dumny cedr na Libanie”.

I zgodziły się drzewa, i przyszły  
Diadem mu ofiarować:  
”Zstąp ze swoich niebotycznych wyżyn,  
Do poddanych się sprowadź”.

Lecz odmówił im cedr i tak rzecze:  
”Czegóż wam się zachciewa?  
Bym porzucił wysokie swe skały  
Schodząc między was, drzewa?

Żebym słońce porzucił i wolność —  
Te dwa dary najrzadsze,  
Żeby służyć swą pracą mozolną  
Wam, bezdomnej hałastrze?

I ten diadem, co macie ze sobą,  
Włóżcie innemu panu!  
Jam bez niego tej ziemi ozdobą  
I koroną Libanu”.



Zeszły znowu wszystkie drzewa nisko,  
Jęły namawiać palmę:  
Rośniesz z nami i masz do nas blisko,  
Weź to godło triumfalne.”

Rzecz palma: „Lubię was, sąsiadów,  
Lecz daremne zaklęcie:  
rządzić wami i pilnować ładu —  
Czyż to dla mnie zajęcie?

By nad wami sprawować mandaty  
Zali mocy mam tyle,  
By zaniedbać pachnące me kwiaty  
I me słodkie daktyle?

Próżno sok mój od świtu do nocy  
Warzyć miałaby spieka?  
Próżno mych wypatrywać owoców  
Oko zwierza i człeka?

Nie chcę berła ni tronu! Ktoś inny  
Może na nim zasiadać,  
Wolę wszystkim cień dawać gościnny,  
Pożywienie i radość”.

Wszystkie drzewa pochyliły głowy  
W niewesołej zadumie,  
Że się nie chce palmie ni cedrowi  
Przewodniczyć w ich tłumie.

”Chodźmy różę poprosić — wszak ona  
Bez korony zachwyca  
Cały świat, w kraśny strój obleczona  
Boża oblubienica”.

”Dąb poprośmy na króla — on bowiem  
Jak gospodarz wciąż będzie  
Wokół pnia, tętniąc siłą i zdrowiem,  
Rozsypywać żołądziej”.

”Brzozę prośmy, co jak panna młoda  
W zasmuceniu powabnym  
Swoje bujne rozpuściła włosy  
Pod welonem jedwabnym”.

Ktoś doradził już raczej na kpinę  
Spośród dziatwy czy młodzi:  
Wiecie co? Poprosimy tarninę,  
Ta na pewno się zgodzi”.

Wszystkie drzewa tę myśl podchwyciły  
W jednozgodnej powadze  
I prosiły tarninę, by chciała  
Nad wszystkimi wziąć władzę.

Rzecz krzew: „Owej rady użyczył  
Widać ktoś z byстрыm sądem.  
Jak tu stoję, na waszej stolicy  
Bez wahania zasiądę.

Wprawdzie suknia nie zdoła mnie ślubna,  
Wdzięk palm, cedrów postawa,  
Lecz nie będę jak dąb samolubna,  
Ani jak brzoza łzawa.

Będę dla was zajmowała grzędę,  
Choć mnie samej nie trzeba,  
Płożyć się na nieużytkach będę,  
Wy bujajcie do nieba.

Będę waszych wrogów onieśmielać  
Spiżowymi kolcami  
I pustkowia wszystkie rozweselać  
Białutkimi kwiatkami.

Będę gniazda ukrywała ptasie  
I zajęcom dogodzę,  
Byście rośli bez przeszkód, ja zaśię  
Ginać będę przy drodze”.

## VI

Hebrajczycy w głębokim milczeniu  
wysłuchali słów baśni...  
”To baśń dla was — rzekł Mojżesz, — a teraz  
Rzecz się całą wyjaśni.

Drzewa są to narody na ziemi,  
A ów cień prostoduszny  
To syn Boży, wybraniec i sługa,  
Jego woli posłuszny.

Kiedy Jahwe kształtował narody  
Niczym płonki, to na dnie  
Duszy ich wyczytywał los, jaki  
W czasie prób im przypadnie.

Badał skłonność ich, stałość, co nimi  
Powoduje najbardziej,  
By dowiedzieć się spośród którego  
Syna sobie wynajdzie.



Tych nie wybrał, co myślą zuchwałą  
Bodąc, niebo kaleczą  
I unoszą swój bunt nad struchlałą  
Zgiętą ciżbą człowieczą.

I nie wybrał bogatych w dukaty,  
Co wciąż łasi na obce,  
Dzięki złotu i z ludzkiego potu  
Wznoszą dla się grobowce.

Ani wybrał piękniśiów, strojnisiów,  
Którzy na instrumencie  
Pobrzękując — czy kując w marmurze  
Wiecznie żyć chcą w talencie.

Wszystkim blaskiem, wszystką wzgardził chwałą,  
Ziemskim skarbem i włością,  
Powabami wszystkich sztuk — i całą  
Z ksiąg nabytą mądrością.

Jak tarnina wśród drzew zbiorowiska  
Niepozorna z wyglądu,  
I jej kwiat ani owoc nie zyska  
Przychylnego w nas sądu —

Tak lud z ludów przez Boga wybrany,  
Pozostaje ubogi,  
Tam gdzie chwała pałaców stubramnych —  
Za wysokie dlań progi.

Ani mędrce między mędrcami,  
Ani w walce siłaczem,  
Gościem jest w swojej własnej siedzibie,  
A na świecie tułaczem.

Za to skarb w duszy złożył mu Jahwe,  
Który serca przenika,  
I uczynił zeń światło w ciemności,  
Swoich słów powiernika.

Na wędrówkę nieskończoną — życie  
Dał mu pewną załogę,  
Dał przymierze swe i obietnicę  
Jak kęs chleba na drogę.

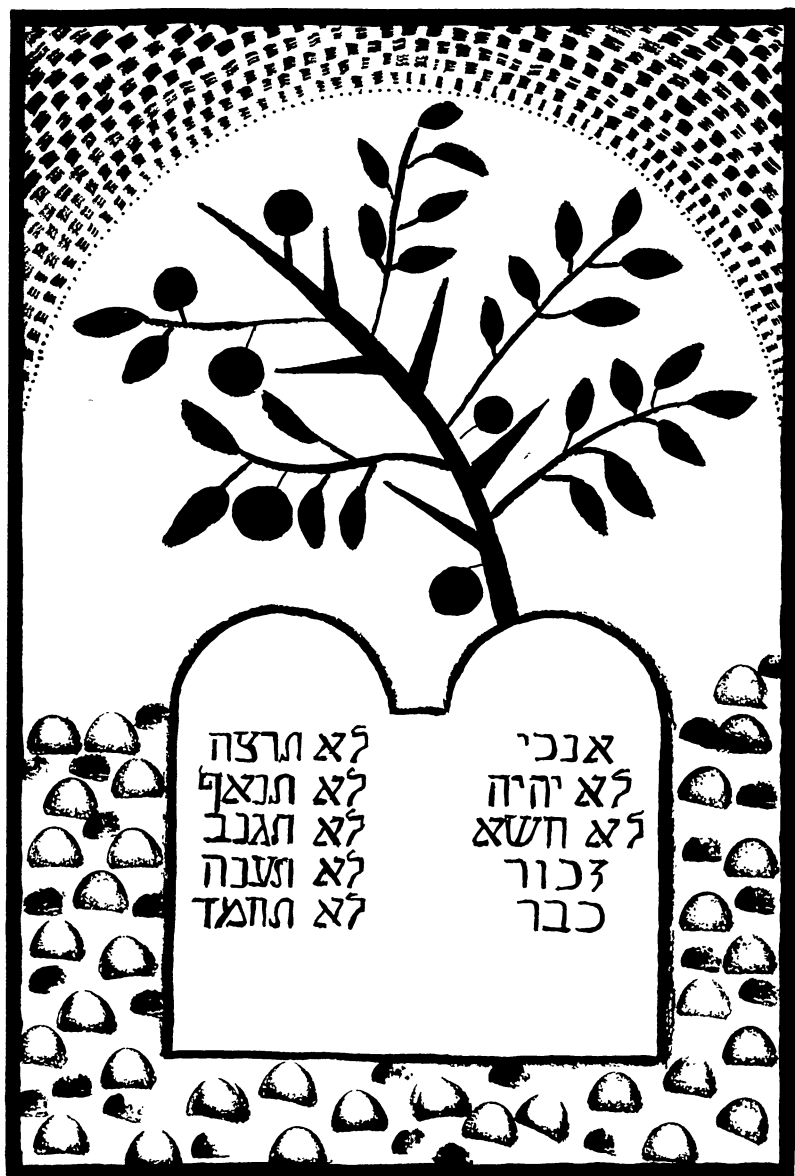
Ale Pan nasz Jahwe jest zazdrosny,  
W gniewie karze boleśnie:  
Kogo umiłował, tego inny  
Umiłować nikt nie śmie!

W płaszczy miłości wybrańca przyodział  
I oddzielił od innych:  
W nieużyty i szorstki samodziął  
Niczym w kolce tarniny.

Jak piekącą pokrzywę wyróżnił  
Spośród człowieczych gromad,  
By tym pełniej mógł wdychać On jeden  
Jego duszy aromat.

I straszliwą obdarzył go misją  
Pod siedmiorgiem pieczęci,  
Żeby w przyszłość niewiadomą niósł ją  
W otoczeniu niechęci.

Bieda wszak ospałem posłowi,  
Co się zgubi w omamie,  
Albo Bożym pogardziwszy słowem  
Pieczęć na nim przełamie!



לֹא תרצה  
לֹא תנאף  
לֹא תגנב  
לֹא תענה  
לֹא תחמד

אנכי  
לֹא יהיה  
לֹא חשא  
זכור  
כבר

Inny wyjmie poselstwo straszliwe  
Z dłoni niewydarzeńca,  
Tchu nabierze, dobiegnie do mety,  
By doczekać się wieńca.

Szczęśny wszakże poseł, co doręczy  
List pewnie i bez zwłoki!  
Pan go godłem królewskim uwieńczy  
I uwielbi na wieki...

Ty żeś ów posłaniec, Izraelu,  
I jutrzejszy król świata.  
Przecz nie zważasz na poselstwo swoje,  
Jaka za nie zapłata?

Nie z tej ziemi jest królestwo twoje,  
Ani chwała — przyziemna!  
Bieda wszak, jeśli cię skusi świata  
Krzętanina daremna.

Zamiast solą być dla całej ziemi,  
W proch obrócisz się podły,  
Zamiast łaską dzielić się z wszystkimi,  
Sam jej będziesz niegodny.

Zamiast świat uwolnić od cierpienia,  
Od rozbratu i strachu,  
Będziesz rozdeptany niczym robak,  
Który skręca się w piachu."

## VII

Na co rzecze szyderczo Abiram:  
"Z całym uszanowaniem,  
Ty, Mojżeszu, napędzasz nam strachu  
Opowiadając bajaniem!

Być tarniną pomiędzy ludami —  
Toż to cześć niesłychana!  
Warto dla niej uznawać zaiste  
Twego Jahwe za Pana.

Także posłem dlań być i przenosić  
List pod siedmią pieczęcią  
W niewiadome głębiny przyszłości —  
To najbardziej nas nęci.

To jest właśnie udział tego osła,  
Co na grzbiecie swym kosze  
Z chlebem dźwiga, a sam z głodu osłabł,  
Żeby ktoś miał rozkosze.

Jeszcze głowy nie stracili Żydzi,  
Lepsze losu poparcie  
Uzyskają, jeśli pokłon złożą  
Baalowi, Astarcie.

Niechaj Jahwe grzmi w swojej powadze  
Nad skalistym Synajem,  
Baal da nam bogactwa i władzę  
Nad całym wielkim krajem.

Niechaj Jahwe twój wybierać radzi  
Cierń przeciwny naturze,  
Nas Astarty ręka zaprowadzi  
Między mirty i róże.

Dla nas kraj Senaar, Harranu  
W Międzyrzeczu szerokim,  
Tam zaś, do twojego Kanaanu  
Nie ruszymy ni krokiem.

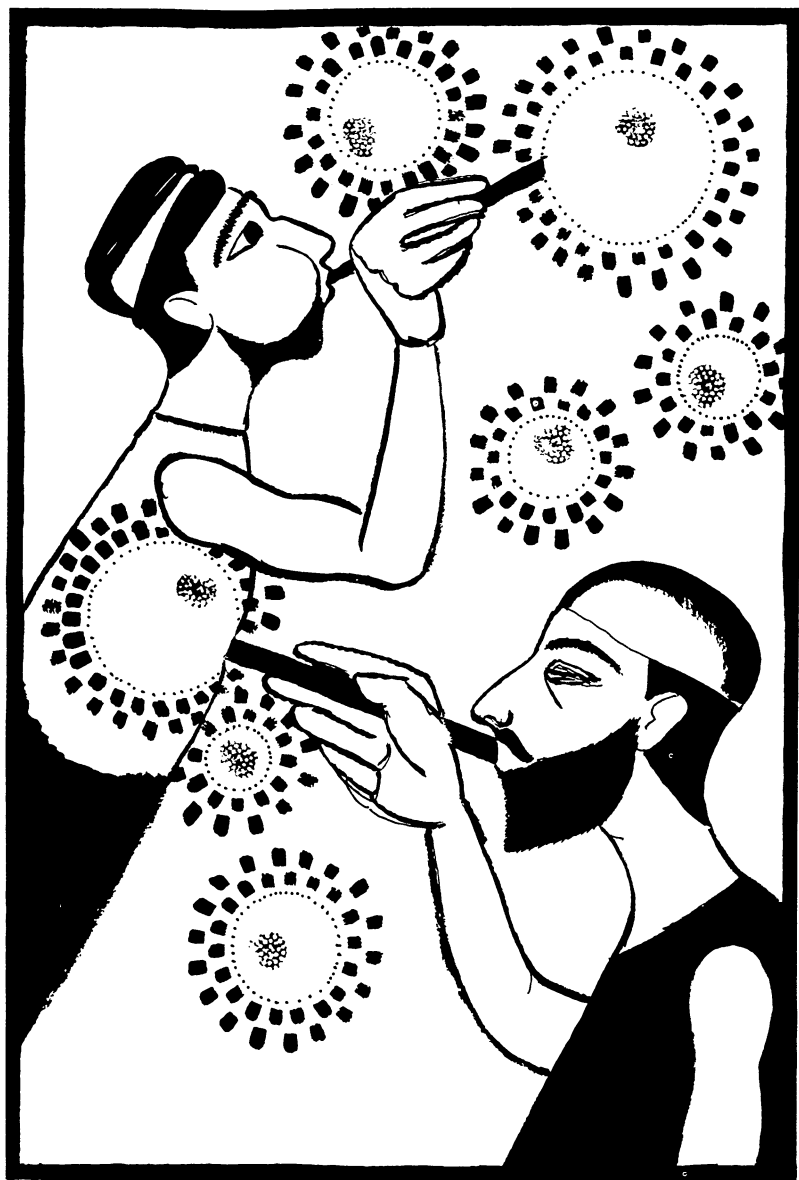
Wszystko jasne, mówić o tym dłużej  
Nie chce się i nie pora,  
Ale cóż się stanie z prawem, które  
Uchwaliliśmy wczora?

Kamienować tę ruinę Żyda?  
Kłopot i ceregiela.  
A nuż jeszcze do czegoś się przyda  
Ludowi Izraela.

Znakomicie opowiada baśnie,  
Puszcza mydlane bańki,  
Między dziatwę pošlijmy go właśnie  
Miał doświadczonej niańki”.

Tak powiedział i śmiech gromko gruchnął  
A z nim razem we wtórze  
Coś wśród ludu zadudniło głucho  
Niby w gradowej chmurze.

”Będzie tak — Mojżesz na to z powagą  
Odparł niezamąconą:  
Pomnij wszak, Abiramie — nie tonie,  
Komu wisieć sądzono.



Nie nacieszysz się — równie jak Wschodu —  
Kanaanu widokiem,  
Z tego miejsca do tyłu ni przodu  
Nie postąpisz ni krokiem”.

Martwa cisza zawiązała usta  
Zgromadzonego ludu.  
I przeraził się, pobladł Abiram  
W oczekiwaniu cudu.

Ale nie ma cudu! Śmiechem gruchnął  
Abiram — i we wtórze  
Coś wśród ludu zadudniło głucho  
Niby w gradowej chmurze.

## VIII

Na to Datan zerwał się ochoczy:  
”Próżno prorocтва klekcesz!  
A jak prawdę tobie cisnąć w oczy,  
Pewnie słuchać nie zechcesz.

Przyznaj się, czyś nie po to się uczył  
W mędrców egipskich szkole,  
Żeby później zakuwać w łańcuchy  
Naszą godność i wolę?

Przyznaj się — jaką oni tam mieli  
Dać proroctwu wykładnię,  
Że przez dąb o dwunastu konarach  
Moc Egiptu przepadnie?



Wszak faraon w kapłanów swych kole  
Widział w nim niezawile  
Izraela dwanaście pokoleń  
Rozrodzonych nad Nilem.

Lęk ich brał, że pomimo ucisku,  
Trudów, udręczeń tylu  
Rośnie lud nasz w Goszeniu siedlisku  
Niczym przybór na Nilu.

Gdy pierwszego w hebrajskiej rodzinie  
Pęporzeza odbiera,  
U Egipcjan w tej samej godzinie  
Pierworodny umiera.

Rady na to nie znalazł nikt żadnej,  
Chociaż wielu się głowi,  
Wreszcie ty, przeniewierco, upadłeś  
Do stóp faraonowi

Mówiąc: „Panie, daj mi wyprowadzić  
Naród ten na pustynię,  
Ja go zdołam wycieńczyć, ugładzić  
I posłusznym uczynię.”

Dotrzymałeś słowa, popędziłeś  
Jak bezrozumną trzodę  
W piaski ku ucieście faraona  
Na śmierć i złą przygodę.

Ileż ludu w pustyni poległo!  
Owe piaski i skały  
Krociom kroci synów Izraela  
Mogilami się stały.

Teraz zasię, gdy z zastępów naszych  
Dochowała się garstka  
I moc, która nieprzyjaciół straszy,  
Pogrzebana jest w piaskach,

Gdy jak dziecię nieletnie osłabła  
Nasza siła żywotna  
I zmiękł zapał, co ducha ponagla,  
Niczym glina wilgotna, —

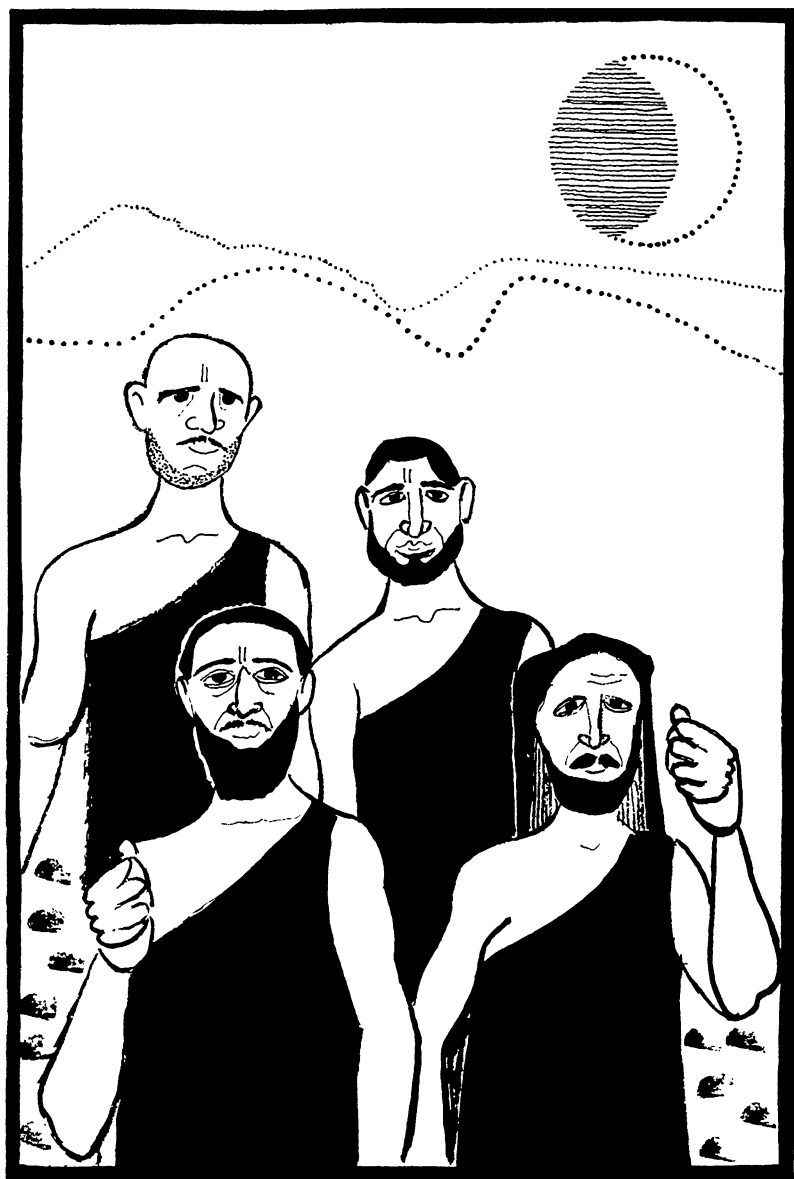
Wyprowadzasz nas do Kanaanu  
Niczym do jamy wilczej,  
Skąd faraonowi jako panu  
Dary ślą hołdownicze!

To szaleństwo, żebyśmy tam sami  
Ładowali się w pastkę!  
Czyż i tu wszcząć bój z Egipcjanami,  
Czy ich błagać o łaskę?"

Rzecz Mojżesz: „Datanie, mój synu,  
Nie martw się bo ty również  
Nie zobaczysz nigdy Kanaanu,  
Ani karku nie ugniesz.

Jeszcze jedno zapowiadam tobie,  
Nieboraku Datanie:  
W chwili śmierci ani piędzi ziemi  
U twych stóp nie zostanie.”

”Hebrajczycy — krzyknie Datan — wierni  
Baalowej potędze,  
Czyżbyście już dzisiaj zapomnieli  
O wczorajszej przysiędze?



Brać kamienie! Jak ongi tak ninie  
Chce narzucić nam brzemię!  
Niech już lepiej jeden człowiek zginie  
Niżli wszystko to plemię!”

”Niechaj zginie! — wokół lud zastęka. —  
Dosyć jego omamień!”  
Lecz, o dziwo, ani jedna ręka  
Nie sięgnęła po kamień.

Już się Datan opamiętał nieco,  
Jeno krzykiem go straszy:  
”Precz stąd, byśmy krwią twoją przed nocą  
Nie skalali rąk naszych!”

Zawtórował mu tłum nawiedzony:  
”Odejdź stąd w tej godzinie!”, Ryk rozlegał się na  
wszystkie strony  
Jak huragan w kotlinie.

## IX

Ale oto znów w Mojżeszu wzbierze  
Gniew Bożego zwiastuna.  
Potoczyły się słowa na stepie  
Niczym łoskot pioruna.

”Biada wam, bezrozumni poddani!  
Wspartych na swojej pysze  
Was, jak ślepców nad krawędź otchłani  
Wodzą kpy i okpisze.

Biada wam, pokolenie przewrotne!  
Od egipskiej granicy  
Przeciw dobru, co dla was istotne,  
Zawszeście buntownicy.

Biada wam, zapalczywi i krnąbrni,  
Zagorzali, uparci.  
Przez ten upór, do klina podobny,  
Sami wewnątrz rozdarci.

Pokrzywami parzycie dłoń, która  
Chroni was jak kwiat czysty,  
Bykiem przecie w pasterza, gdy szuka  
Pastwisk dla was soczystych.

Biada wam, których zrobilżeś, Panie,  
Człowieczeństwa ogniskiem,  
Bowiem dar ten najwyższy się stanie  
Dla was urągowiskiem!

Bo ilekroć od Pana z niebiosów  
Promień łaski zaświeci,  
Wy proroków od Niego i posłów  
Kamienować będziecie.

A za kroplę krwi każdą sług swoich,  
Sercu najmilszą dziatwę,  
Pomstę na was i prawnukach waszych  
Odbierać będzie Jahwe.

Tak was chłostą i plagami zgniecie,  
Łzą nakarmi i bolem,  
Aż w strapieniu pełnić przyrzekiecie  
Jego najświętszą wolę.

Jeno znów zeszywnięją wam karki,  
Ledwie Pański gniew minie,  
Krąg występków, i kary, i skargi  
Jeszcze raz się przewinie.

Biada wam, że przez setki lat mieszkać  
Przeznaczono wam w szkole,  
Zanim czytać zaczniecie nareszcie  
W księdze swej Bożą wolę!

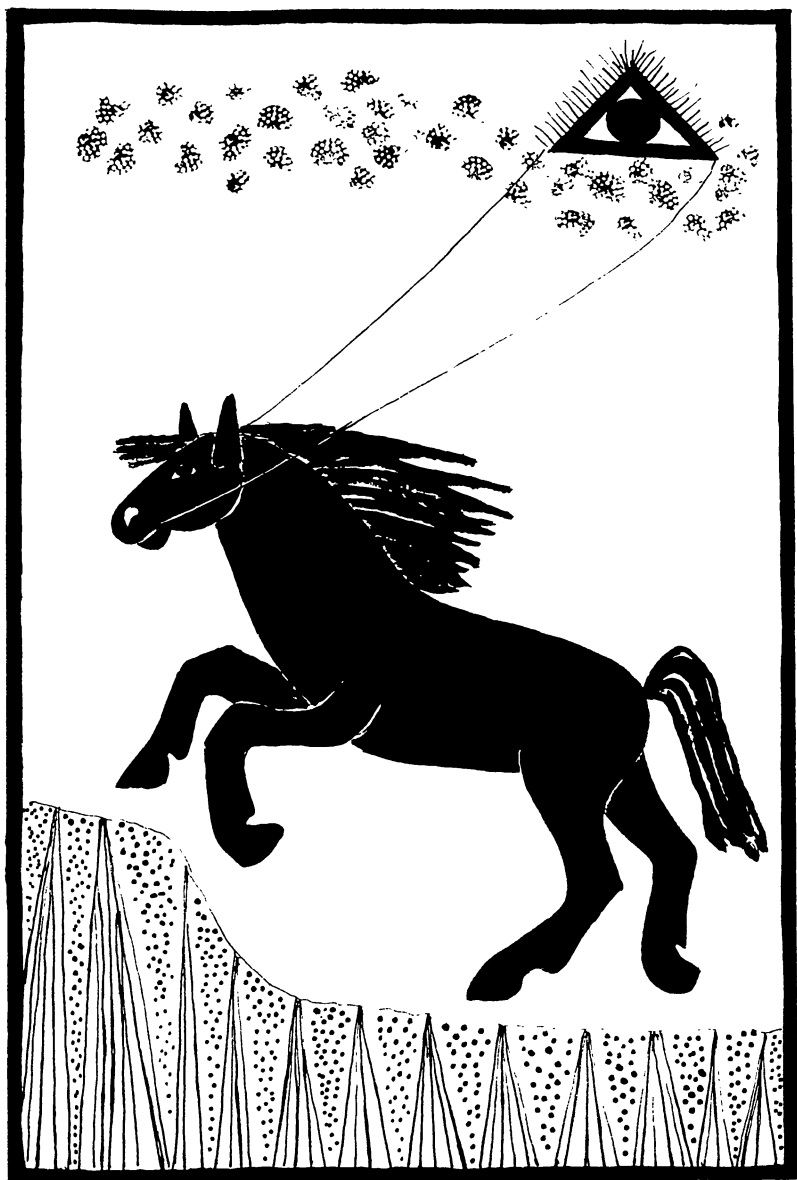
Tak was widzę: jako pasterz łyko  
Drze bukowe wśród lasu,  
Moczy w wodzie i wysusza, by go  
Stłuc i zmiędląć zawczasu,

Przez co hubka ta jak puch rozmięknie,  
A wraz łatwość zdobywa,  
Z jaką migiem rozplómenia pięknie  
Skrę, co padła z krzesiwa.

Tyżeś łykiem, Izraelu! Ciebie  
Będzie Jahwe tłuc potąd,  
Aż rozmiękniesz jak hubka i przyjmiesz  
Słowo Boże z ochotą.

Choć opornie, będziesz iść do celu,  
Jako wołki u radła...  
Biada tym, którym prawica Pańska  
Na kark sztywny upadła!

Patrzysz wstecz i rośnie oddalenie,  
w jutro wabią cię tropy,  
Ale z bliska ciernie i korzenie  
Ranić będą twe stopy.



Ku przepaści jak koń popędliwy  
Z mocą gnasz nierozważną,  
Kiedys jeszcze tę swoją koronę  
Przefrymarzysz za jarzmo.

Strzeżcie się, by Jahwe nie odwołał  
Danej raz obietnicy,  
By za upór wasz nie złamał słowa  
Na was samych, zmiennicy!

Strzeż się, ludu, by w oną godzinę  
Dla wiecznego postrachu  
Nie zostawił cię, jak pstrą gadzinę  
Zdychającą na piachu!"

Chyląc głowy, skłaniali doń ucho  
Oniemiali, ponurzy,  
Jeno w piersiach dudniło coś głucho  
Jak daleki zew burzy.

## X

Wielkie słońce schodziło za góry,  
Gasnąc na nieboskłonie  
Niczym pływak wyczerpany, który  
Lada chwila zatonie.

Mglista melancholia przepływała  
W bezchmurnej niebios dali  
I jak niezgojona nigdy rana  
Dygotał płacz szakali.



Obudziły się ludzkie tęsknoty  
W starym sercu proroka  
I na chwilę obniżyła loty  
Spod niebios myśl wysoka.

Zali ma być jeno kar zwiastunem  
I grozić w każdej chwili?  
I jak głodne, zabiedzone dziecię  
W sercu mu coś zakwili.

''Izraelu! Gdybyś tylko wiedział,  
W jakim to serce stanie,  
Gdybyś wiedzieć mógł, jak cię miłuję,  
Jak niewypowiedzianie!

Tyżeś przodkiem, tyś spuścizną moją,  
Wszystką czią, wszystką sławą,  
W tobie duch mój, jutra tyś ostoją,  
Władztwem i świętą sprawą.

Wszystek wiek ci dałem, wszystek mozół  
W niezłomnym przedsięwzięciu,  
Żebyś po stuleci stopniach dążył  
Z ducha mego pieczęcią.

Nie to jednak, nie samego siebie  
W tobie umiłowałem:  
Chcę przekazać ci, co najlepszego,  
Najwznioślejszego znałem.

Izraelu, bluźnierczego słowa  
Nie bierzesz do serca łacwie:  
Jam cię bardziej, pełniej umiłował  
Niżeli Pan nasz, Jahwe.

Milionowa jest czeladka Jego,  
Co mnóstwem próśb obarcza.  
Ja mam ciebie jednego, jednego  
I jeden mi wystarcza.

I gdy on z milionowego zboru  
Obrał cię swoim sługą,  
Ja zostałem twoim bez wyboru,  
Jeno przez tęskność długą.

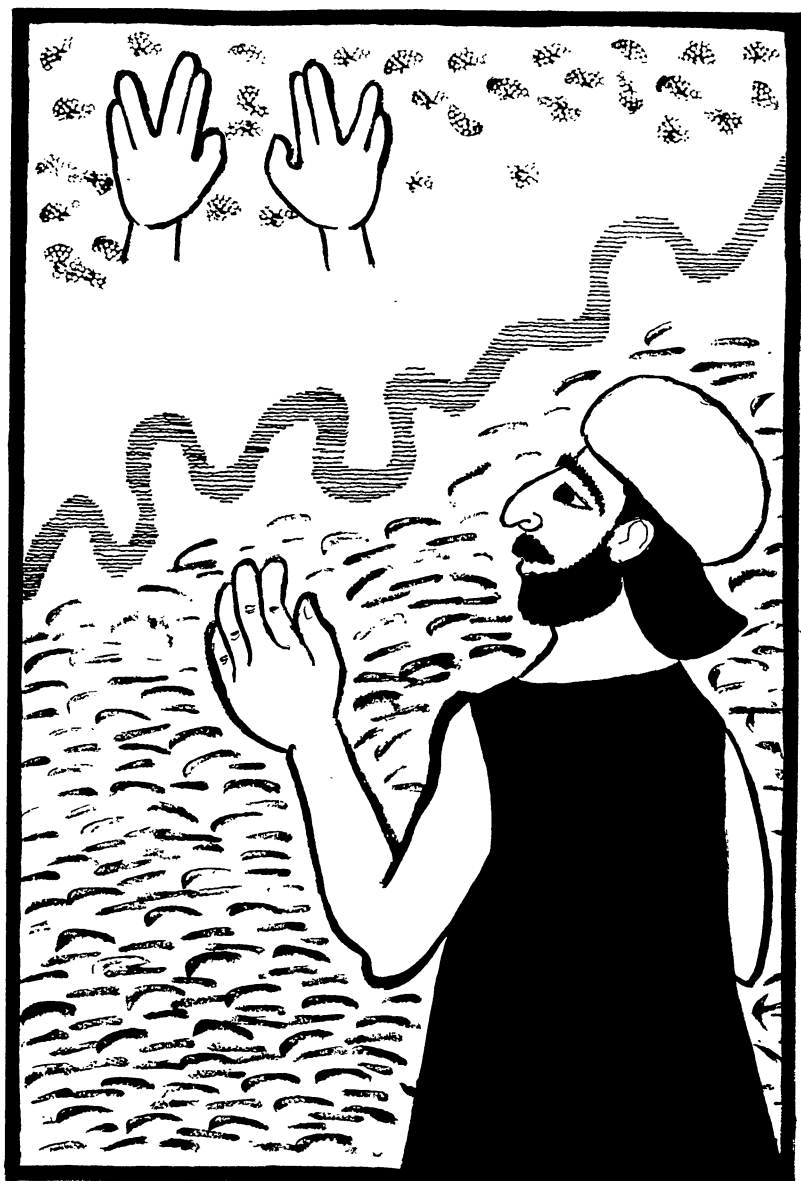
I gdy On spośród pokoleń bierze  
Sługi dla żertw i święceń,  
Izraelu zważ, że ja w tej mierze  
Cząstki najmniejszej nie chcę.

I gdy jemu dymić masz kadzidłem  
I uwielbienie głosić,  
Do twej niewdzięczności ja przywykłem,  
Złorzeczeń twych mi dosyć.

Bo nie tylko za dobre porywy  
Kocham cię, nie inaczej,  
Ale również za błędy i wady,  
Nad którymi sam płaczę.

Za ten upór twój i zaślepienie,  
Hardość twojego ducha,  
Co sam wodząc się na pokuszenie  
Nawet Boga nie słucha.

Za kłamliwość twojego języka,  
Lekkomyślność sumienia,  
Za czepianie się ziemskich korzyści  
Z zawziętością korzenia.



Za twych córek spojrzenia zuchwałe,  
Za ich miłość namiętą,  
Za twą mowę i tve obyczaje,  
Śmiech, i oddech, i tętno.

Izraelu, moje ulubienie!  
Skarż się Dobremu Bogu!  
Tak jak kocham ciebie nieskończenie,  
Porzucam cię na progę.

Bo już bliska jest godzina moja,  
Znana jedynie Panu,  
A ja muszę dotrzeć na ostatek  
Do granic Kanaanu.

Jakże chciałem przekroczyć je z wami  
Wśród trąb brzęczących stokrotnie,  
Ale Bóg mnie uciszył i wstąpić  
Będę musiał samotnie.

Byle upaść na brzegu Jordanu,  
Gdy sen przyjdzie mnie zmorzyć  
Byle tylko w Ziemi Obiecanej  
Stare kości swe złożyć!

Legnę tam, i wierzchołki Moabu  
Upodobnią się świadkom,  
Kiedy wszyscy ruszycie mym śladem  
Niczym dzieci za matką.

I poszczuję tęsknotę swą na was,  
Serca wasze i głowy,  
Niczym psa, który w step swego pana  
Wywołuje na łowy.

Wiem, że ruszą was hufce ogromne  
Niczym powódź na wiosnę,  
I nie macie co pytać się o mnie  
W waszej drodze radosnej!

Niechaj pochód wasz dąży do celu  
Jak wezbrany nurt rzeki!  
Ukochane dziecię, Izraelu,  
Bywaj że mi na wieki!"

## XI

Gdy z obozu uchodził w głąb stepu,  
Płomieniały gór skłony.  
Za ostatnią, najdalszą w szeregu  
Jaśniał cel upragniony.

Półmrok snuł się w jarach i doliny  
Omotywał do krańca.  
"A ja już nie powrócę tu nigdy!"  
Łkało serce wygnańca.

Z okolicznej wyprawy chłopięcej  
Powracająca rzesza  
Łapiąc dziadka za płaszcz i za rękę  
Okrążyła Mojżesza.

"Dziadku! Dokąd chcesz na noc iść dalej?  
Z nami wróć na wieczerzę!  
Popatrz, jakiśmy mur zbudowali,  
Jakie wrota i wieże!"

"Dobrze dziatki, pilnujcie swej twierdzy,  
Nie czekajcie przybycia.  
Ja obejrzeć muszę mur pomiędzy  
Krajem śmierci i życia."

"Dziadku, myśmy skorpiona zabili  
Pośród skał na początek  
I pomiędzy cierniami schwycili  
Troje aż zajęczątek!"

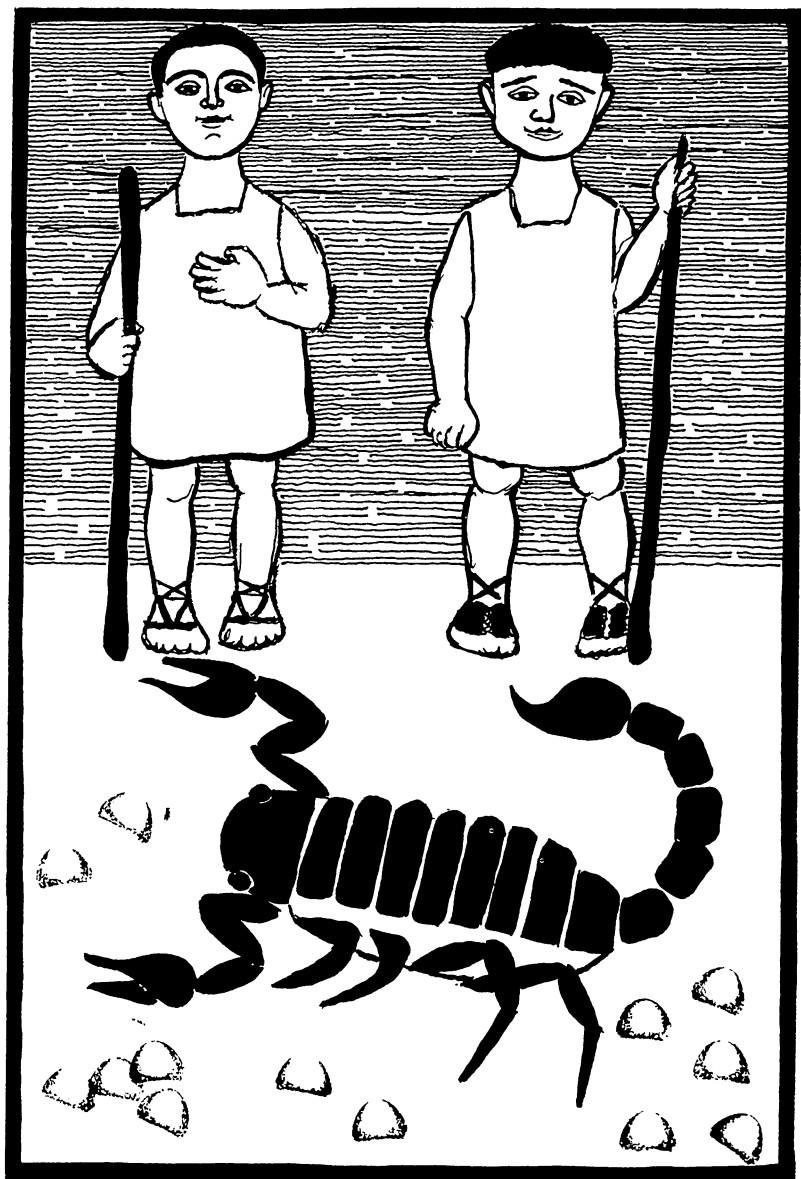
"Dobrze dziatki! Zabijać skorpiony  
Będzie wolno wam zawsze.  
Wprawdzie nie jest to dobry uczynek,  
Pożyteczny jednakże

A niedobry, bo skorpion żyć pragnie  
I ma w skałach ojczyznę,  
I czyż winien dlatego, że chowa  
Taką w sobie truciznę?

Za to małe zajęczki odnieście  
Tam, skądście je wzięli.  
Przecież mama ich płacze! O mamie  
Czyście nie pomyśleli?

Miłosierdzie nad wszelkim stworzeniem  
Niechaj wami owładnie!  
Przecież życie to skarb — i cóż może  
Cenniejszego być nad nie?"

"Nie chodź jeszcze, dziadusiu — siądź z nami!  
Wśród wieczornej ochłody  
My tak słuchać lubimy, gdy swoje  
Opowiadasz przygody!



Powiedz, jakeś w młodzińczych swych latach  
Przypatrywał się niebu,  
Kiedyś teścia swojego pasł stada  
Na wyżynie Horebu.

Gdzieś nietknięty krzak ujrzał cierniowy,  
Chociaż gorzał płomieniem,  
I jak z krzaka ów głos usłyszałeś,  
Co przejmował cię drżeniem."

"Nie czas, dziatki, już o tym przed nocą  
Opowiadać za wiele.  
Spójrzcie, resztki zachodu migocą,  
Mgła wieczorna się ściele.

Przyjdzie taka godzina jednakże,  
W serca wielkiej potrzebie  
Krzak ognisty i wam się ukaże  
Jako mnie na Horebie.

Przeżyjecie tę chwilę odświętną,  
Jedną na całe życie  
I rzecz z ognia na wieki pamiętną  
Jako ja usłyszycie:

"Zdejm sandały trosk swoich powszednich,  
Podejdź tu bez obawy,  
Bo od dziś wysłannikiem i sługą  
Wielkiej czynię cię sprawy."

Więc nie gaście świętego płomienia,  
Byście swe powołanie  
Słyszac, mogli się na nie otworzyć:  
"Gotów jestem, o Panie!"



Zastanowił na długo dzieciarnię  
Sens słów owych proroczy,  
A tym czasem on sam niesłyszalnie  
wstał i w ciemną dal kroczył.

Długo za nim śledzili milczący,  
Każdy w sercu żal poczuł,  
Gdy ów cień malejący, rzednący  
Na ostatek znikł z oczu.

## XII

"Ogarnęła mnie wielka samotność  
Niczym morza pustkowie  
I mój duch całą swoją istotą  
W żagle chwyta jej powiew.

Od jak dawna mnie w życiu prowadzi  
Opiekunki tej obraz!  
Zawsze — w stepie, czy w ludzkiej gromadzie  
Wędrowałem samopas.

I podobny błędnemu planecie  
W mroczną głąb tajemnicy  
Lecąc — jeno przedziwne dotknięcie  
Bożej czulej prawicy.

Cicho wokół i usta niemieją,  
Milknie słowo niełatwe,  
Jeno gdzieś na dnie serca mojego  
Twój pobrzmiewa głos, Jahwe!

Pełne dziś utęsknienia i trwogi  
Szuka jedynie Ciebie,  
Byś przemówił do niego jak ongi  
Z ognia, tam na Horebie!

Ojcze, drogą poszedłem wskazaną,  
Zabrakło drogi i wątku,  
Otom dzisiaj przed Tobą znów stanął  
Jakom był na początku.

Przez czterdzieści zem lat prorokował  
Tobie dawszy się w jeństwo,  
Abym tych niewolników przekował  
W lud na Twe podobieństwo.

Lat czterdzieści obrabiał jak młotem  
Ich sumienia i serca —  
Kamieniami zagroził mi potem  
I drwił ze mnie szyderca.

I to w chwili, gdy obok tak blisko  
Ziemia jest Obiecana!  
Zali Tobie, Panie co wiesz wszystko,  
Z góry rzecz była znana?

Serce moje niepokój poraża:  
A nuż to wyrok nieba?  
Możem ja Twoich świętych przykazań  
Nie pilnował jak trzeba?

We łzach przecież modliłem się: „Jahwe,  
Licha moja wymowa,  
Innym ustom zleć Panie niełatwe  
Przepowiadanie słowa.”



I zwątpienie mnie zimnem owija,  
Jadu sączą się strugi —  
"O wszechmocny, odezwij się, wyjaw —  
Rad żeś ze swego sługi?"

Tak się modlił w utrudzeniu ducha  
Prorok osierociały,  
Lecz nie rzekła nic pustynia głucha,  
Gwiazdy jeno mrugały.

### XIII

Raptem śmiech się odezwał stłumiony  
Tuż obok jego boku,  
Jakby miał towarzysza z tej strony,  
Choć nie dosłyszał kroku.

Cichy szept jak syczenie gadziny  
W nocnej rozległ się czerni:  
"Kwiat niewiedzy czyż owoc da inny  
Kromie cierpień i cierni?

A jak z cierniem tym takż z cierpieniem  
Radzić sił nam nie starczy,  
To najchętniej się swoim brzmieniem  
Pana Boga obarczy."

Mojżesz

"Mówi ktoś! Z mych ust się wyrywa  
Ból tłumiony daremnie,  
Czy też jakaś istota złośliwa  
Naigrawa się ze mnie?"

Głos

”Czyż dopiero w tej chwili zwątpiłeś  
W posłannictwo twe, pośle?  
Przez czterdzieści lat lud prowadziłeś  
Śmiało, chociaż na oślep”

Mojżesz

”Mówi ktoś! I me czoło się potem  
Lodowatym okrywa.  
Czy się lękam? Nie! Chociaż ktoś grotem  
Ognia serce przeszywa.”

Głos

”W swojej pysze niezmierzonej naród  
Zwiodłeś z utartej drogi,  
By go lepić dla własnych zamiarów —  
Czyż to nie powód trwogi?”

Mojżesz

”Coś za jeden? Ja cię nie dostrzegłem,  
Nie złowię, nie odtrącę,  
Czuję tylko, jak wpija się we mnie  
Twe spojrzenie palące”.

Głos

Czy to ważne? Dla kogoś, co morza  
Pokierował żywiołem,  
Ważne będzie nie — kto, lecz co mówi,  
I czy sedna dotknąłem.”

Mojżesz

”To nieprawda, żem gonił za chwałą  
Dla korzyści doraźnej,  
Jeno serce się krwią oblewało,  
Gdy widziałem lud w jarzmie.”

Głos

Pozostawać niewolników bratem —  
Wstyd doprawdy olbrzymi,  
Zaprzagnąłeś przerobić ich zatem,  
By móc chlubić się nimi.”

Mojżesz

”Tak, z tej błotnej, sromotnej niziny —  
Użyć chciałem sposobu,  
By do siebie ich wznieść — na wyżyny  
Człowieczeństwa i swobód.”

Głos

”Zaliś Stwórco, co ich tam osadził,  
Pytał się w onej dobie?  
Teraz, w biedzie, przyzywasz, by radził  
Im pospołu i tobie?”

Mojżesz

”Przecie mnie przymusiła do biegu  
Jego wola wszechmocna,  
W ciemną duszę wnikł płomień Horebu  
I przepalił ją do cna.”



Głos

”A jeżeli ten płomień Horebu  
Płonął nie na Horebie,  
Lecz w zaznanej i nieokiełzanej  
Serca twego potrzebie?

A nuż głos, który cię wyprowadził  
W drogę, co was udręcza,  
Nie od krzów gorejących pochodził,  
Jeno z własnego wnętrza?

Chęć przemożna zaślepia — i z mnóstwa  
Nie zrozumianych znaków  
Wyczaruje i światła, i bóstwa  
Wśród pustynnych majaków.

To pragnienie, co jak szakał nocą  
W sercu twym zawodziło,  
Ono z ciebie uczyniło wodza  
I proroka zrodziło.”

Mojżesz

”Jeszcze żaden mnie wróg ani razu  
Takim chłodem nie owiał.  
Ktoś ty taki?”

Głos

„Ja jestem Azazel,  
Mroczny demon pustkowia.”



## XIV

Było ciemno. Jedynie nad głową  
Rój gwiazd niebo okręzał.  
W blasku ich coraz wyżej i wyżej  
Mojesz w górę podążał

Bezdrożami. I dziwne go dźwięki  
Prowadziły stromizną:  
To z wąwozu hien dobiegną jęki,  
To znów gad się prześliznął.

Bez wahania szedł niczym zwycięzca  
Na ostatnie zmaganie,  
Lecz największy w nim bój — w głębi serca  
Toczył się nieustannie.

”Więc pragnienie — głos jakiś przeważał —  
Mąk i wstydu płód wdowi,  
Było krzem gorejącym, co kazał  
Wolność wrócić ludowi?

Więc pragnienie zapalało ogniem,  
Którego siła sroga  
Przykazania stworzyła, podobnie  
Jak samo imię Boga?

Więc upartym wiedziony pragnieniem,  
By braciom ująć bolu,  
Grzech popełniam, za który winienem  
Zstąpić w mroki Szeolu?

To nieprawda! Porywu szczerego  
Nie poczytuję za winę.  
Ten był święty! Lecz możesz do niego  
Wpuścić grzechu gadzinę?

Zaliś nie był dla nich władzą, która  
Duch i ciało owładła  
I porywów świętych jej natura  
W sercu twoim nie zjadła?

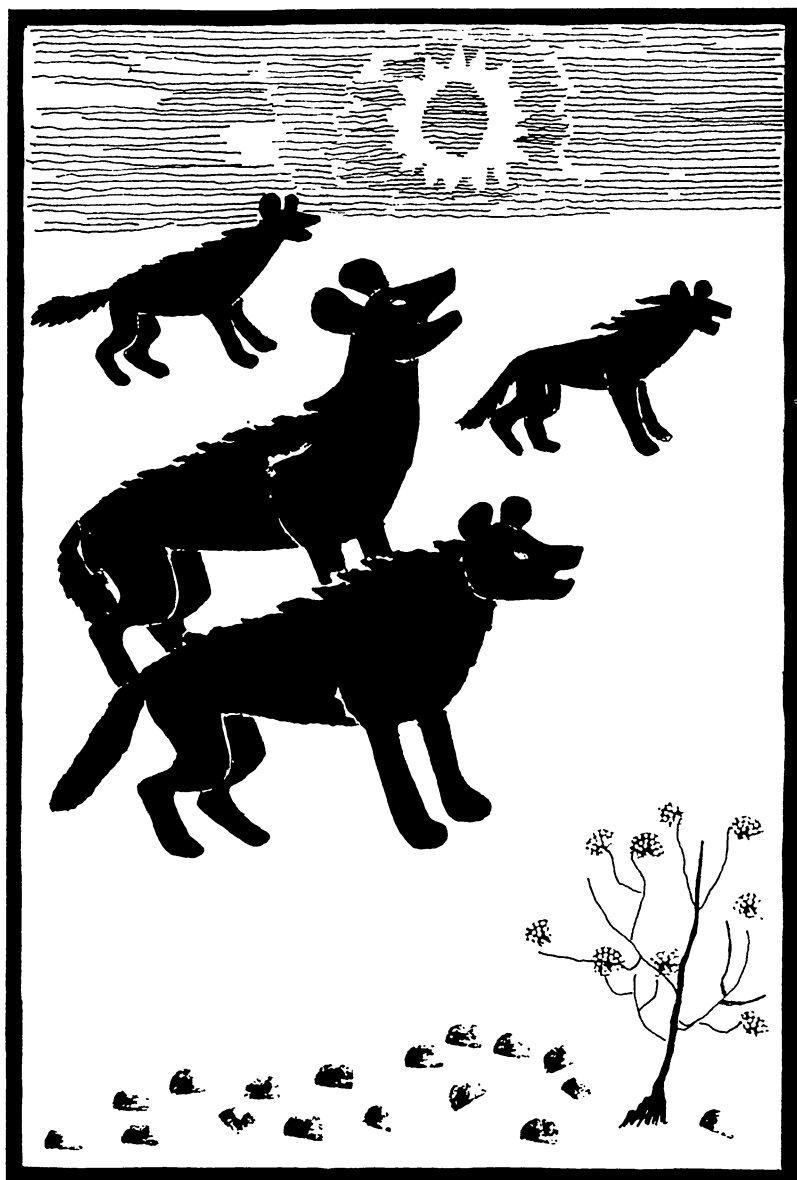
Czyż nie faraona to potęga  
Nowa i gorsza w sumie,  
Bowiem nadzór twój nad nimi sięgał  
Do głębi serc i sumień?

Niebezpiecznie jest losy pokoleń  
Kształtować niczym dziatwę!  
Łatwo podać swoją własną wolę  
Za przykazania Jahwe.

A co, jeśli owładnięty szaleem  
Bożym przez lat czterdzieści,  
Miast Bożego — własny im zadałeś  
Plan, co w tobie się mieści?

A nuż oni w Egipcie tę czarną  
Pracę znosząc w udręce  
Mogli nabrać dość sił i zagarnąć  
Cały kraj w swoje ręce?

Wymiatając spod nóg ich podłoże  
I przenosząc w pustynię,  
Czyś pomyślał: „A nuż, miły Boże,  
Straszną krzywdę im czynię?”



Bezdomnemu, którego wiatr zenie,  
Obiecywać swobodę?  
Czyż nie prościej — dąb wyrwać z korzeniem  
I opuścić na wodę?

Czyż nie prawdę mówił Datan: „Stare  
Porzucając siedliska,  
Skądże zapal weźmiemy i wiarę,  
Żeby nowe pozyskać?”

Błagam Ciebie, odpowiedz mi, Jahwe,  
Zalim wolę Twą spełniał,  
Czym igraszką okazał się własnej  
Złudy i zaślepienia?

Powiedz, Jahwe: Ty również dar mowy  
Uzyskujesz najchętniej  
W naszych snach, w objawieniach widmowych,  
W rozbudzonej krwi tętnie?”

Ale milczał Jahwe, słyhać było  
Jeno dźwięki złowieszcze:  
To w wąwozie hien stado kwiliło,  
To gdzieś gad zaszeleszcze.

## XV

Wytoczyło się słońce nad stepem  
Jak purpurowe koło  
I ulewą strzał ciemności ślepe  
Rozpraszało wokoło.

Tak opromieniona góra Nebo  
Jak królowa w szkarłacie  
Wypiętrzyła się nad inne w niebo  
W groźnym swym majestacie.

Na najwyższej wysoczyźnie góry,  
Wyżej skalnych obrzynów  
Nieruchomo stoi ktoś jak jeden  
Z przedwiekowych olbrzymów.

W oddaleniu od przyziemnych swarów,  
Ponad ich dysharmonię  
Uniesiony wyciąga do nieba  
Rozpostarte dwie dłonie.

I gdy krąg purpurowy jutrzeńka  
Wokół niego uczyni,  
Jego postać ogromna z daleka  
Da się widzieć w pustyni.

A z namiotów od hebrajskiej braci  
Mkną spłoszone spojrzenia  
Niczym gońce — ku tamtej postaci,  
Którą brzask opromienia.

”Toć to Mojżesz!” — niektórzy jak we śnie  
Wypowiedzą nieśmiało,  
Lecz nie mówią, co im równocześnie  
W sercu zakołatało.

Tak on stoi na górze Nebo  
I znów rozmawia z Bogiem,  
A modlitwa jego godzi w niebo  
Jak płomienistym rogiem.

Chociaż nie padł żaden dźwięk i usta  
Zacisnęły się zbladłe,  
Jednak w borykaniu duch nie ustał  
I przywołuje Jahwe.

Coraz wyżej jest słońce i płonie  
Ściana niebiosów cała,  
A modlący trwa na nieboskłonie  
Nieruchomy jak skała.

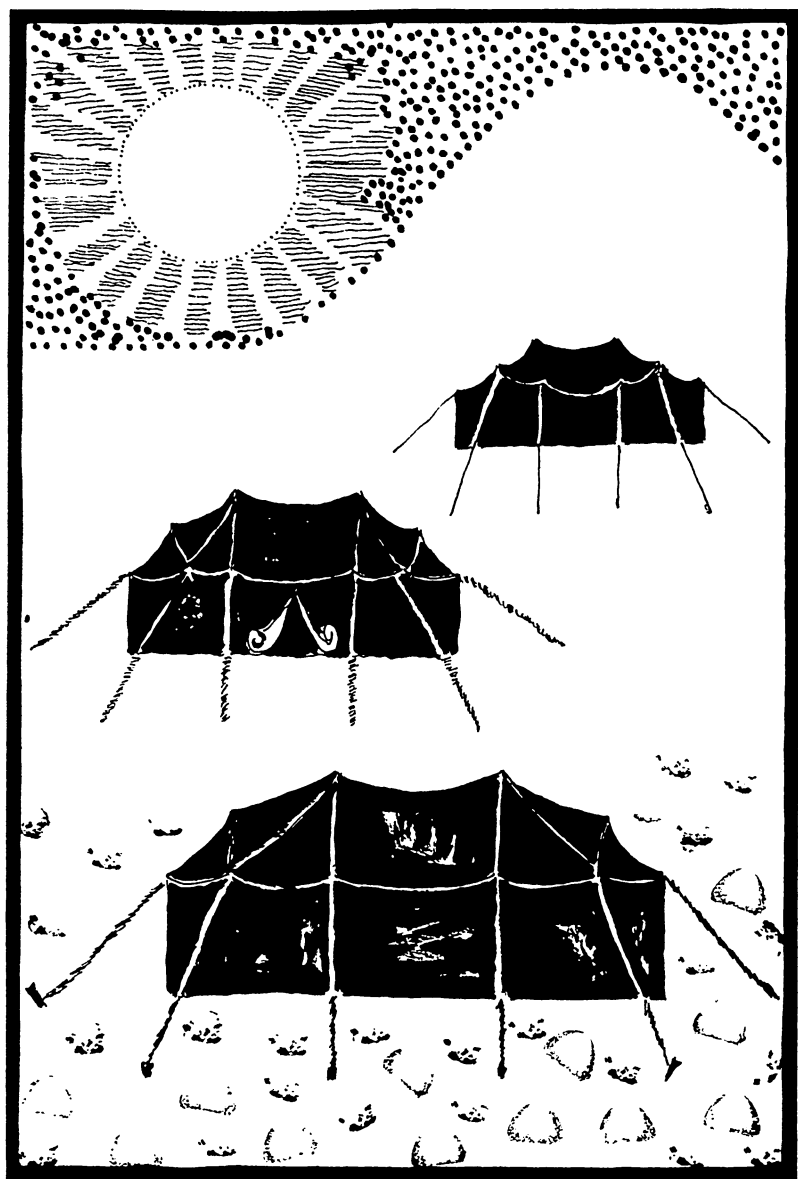
Już i demon w południowej spiece  
Bicie serca zawiesza,  
Ale zdaje się, że czyjeś ręce  
Podtrzymują Mojżesza.

Słońce już nad górami Abarim  
W dół swą drogą pobiegło  
I cień kładzie się szerokobary  
Na dolinę rozległą.

Wydłużony w promieniach zachodu  
Cień Mojżesza w dół padnie  
I dosięgnie hebrajskich namiotów  
Jak żegnanie ostatnie.

Rozprzestrzenił się strach po obozie:  
"Panie, spraw, by w tę chwilę  
Nie obarczył przekleństwem nas Mojżesz  
O niesłychanej sile!

Bo od takiej modlitwy gorącej  
Ziemi drżą fundamenty,  
Miękną skały jak wosk i dygoce  
Przedwiecznego tron święty.



A jeżeli nas teraz przeklina,  
To ze słońca zachodem  
Zniknie cała tutejsza kraina  
Razem z naszym narodem.”

## XVI

Mojżesz jeszcze się piał, niepożyty,  
Łowiąc cel oddalony,  
Ale gdy ogarnęła noc szczyty,  
Padł na ziemię zemdlony.

Z wierzchołkami swymi góra Nebo  
Zakołysze się wszystka  
I utuli go, nieprzytomnego,  
Jak matczyzna kołyska.

Jakaś nuta z dzieciństwa ulotna  
Tęsknie nad nim zabrzmiała  
I głaskała dłoń czyjaś łagodna  
Niczym puch śnieżnobiała.

Zaszemrało słów cichych odbicie:  
”Biedny synku mój drogi,  
Patrz, co z tobą uczyniło życie  
Przez czas taki niedługi!

Zalim dawno cię wypiaستowała,  
Prowadzała za rękę,  
Zalim po to na świat cię wydała,  
Żebyś cierpiał udrękę?



Kto tak czoło zmarszczami ci porył?  
Jakżeś w drodze schudł cały!  
Twoje, com je głaskała, kędziory  
Niczym śnieg pobielały!

Pomnę, jako do bitek i zabaw  
Uciekałeś uparcie!  
No i cóż? Któż ci tyle ran zadał,  
Jakie serca rozdarcie!

Moje biedne, nieposłuszne dziecię,  
Wciąż słuszości swej pewne,  
Dzisiaj także... cały dzień na spiece!  
Był ci to potrzebne?

Na modlitwie! W przyszłość swego ludu  
I ku jego początkom  
Chciałeś zajrzeć... Zażądałeś cudu,  
Bezrozumne dzieciątko!

Jeśli tracę ten kamień zwietrzały,  
Wtedy zacznie zlatywać  
Urwiskami, od skały do skały  
Padać w dół, podskakiwać.

Tam nadzieje się na skał krawędzie,  
By na pół się rozłupać,  
Ówdzie porwie z sobą głąz w rozpędzie,  
By pospołu z nim upaść.

Tutaj okruch zostawi, tam kamyk  
I gna dalej, grzechocząc,  
I czy wie kto, że każdy odłamek  
Pragnie wreszcie odpocząć?

Nawet Bóg nie wie o tym, i choćbyś  
Modlił się na kolanach,  
Każdy głąz tam potoczyć się musi,  
Gdzie kwatera mu dana.

Sam jest sobie sternikiem i sterem,  
W nim zawarta jest siła,  
Która dlań przeznaczyła kwaterę  
I samego stworzyła.

Żeby nie wiem jak mocny był Jahwe,  
On tej siły nie zmieni  
I nie wstrzyma, nie zawróci w locie  
Najlichszego z kamieni.

Masz tu pyłek, co ledwie migotem  
Niepokoi spojrzenie,  
Jednak Jahwe nie zdoła z powrotem  
Strącić go w nieistnienie.

I nie może rozkazać na przekór,  
Żeby drogą biegł inną  
Niż ta, którą od wieków, wiek wieków  
Biegnie, jak być powinno.

Wszak to pyłek! A cóż rzec o ludzie,  
Tej zbiorowej istocie,  
Gdzie duch każdy wnosi własny udział  
Współuczestnicząc w locie?

Słyszałeś powiastkę o Orionie,  
Który wzrok chcąc odzyskać  
Błądził, doszukując się daremnie  
Słonecznego siedliska?



Na ramionach swych dźwigał chłopczynę,  
Co się podjął prowadzić  
Tak, by mu co godzinę, na kpinę  
Wciąż inaczej doradzić.

”Ty mnie, chłopcze, do słońca zaprowadź!”  
Na wschód wiódł więc do świtu,  
O zmierzchu na zachód, na południe —  
Gdy dobiegło zenitu.

Orion zasię wciąż idzie i idzie,  
Pełen wiary w to słońce  
I tęsknoty za światłem, co wreszcie  
Przyjdzie olśniewające.

Tak po górskich i morskich manowcach  
Brnie wielkolud uparty  
I uległy fanaberiom chłopca,  
Który stroi zeń żarty.

Orion ów — to cała ludzka rzesza  
Rozproszona po świecie,  
Która z wiarą i trudem pośpiesza  
Ku niewidzialnej mecie.

Zakochana w celu niedosięglym,  
Mając wzór w onym ślepcze,  
Gardzi tym, co jej zmysły dostrzegły,  
I co znane jej, depcze.

Karmi się marzeniem bałamutnie,  
Co sił ściga utopię  
I z zamysłów jej szydzi okrutnie  
Owo krytyczne chłopię.

Wzorem tego olbrzyma — bęcwala,  
Co obcym oczom wierzy,  
Wciąż dochodzi nie tam, dokąd chciała,  
Trafia nie w to, w co mierzy.

Ty, biedaku, modlisz się w tę piekę:  
Gdzie rozum twój, gdzie siła?  
Piany chwytasz się, ażeby rzekę  
Do biegu wspak zmusiła!”

## XVII

Na początku było coś w tych słowach  
Jak źródło szemrzącej wody,  
Jakby od ich dobroci powiało  
Jakimś tchnieniem ochłody.

Ale zwolna duszność nadciągała,  
Jak gdyby samum wionął,  
I strach, niby w dziecku, które na noc  
Bez światła zostawiono.

Mojesz przeląkł się, oparł na rękach  
I z ziemi wstał z wysiłkiem  
Zapytując: „Dlaczego mnie nękaś  
Przed ostatnim spoczynkiem?

Tyś nie matka! Nie miłości wyrazem  
Mowa twoja się znaczy.  
Znam cię ducha! Ty jesteś Azazel —  
Mroczny demon rozpaczy!

Precz mi z oczu! Albo przeklnę ciebie  
Znakiem jego czwórdzielnym,  
Boś ty kłamca, chociaż byłeś w niebie  
Aniołem nieśmiertelnym!”

I dobiegło doń cichym szelestem:  
”O nierozumne dziecko!  
Klniesz imieniem Jego mnie, co jestem  
Mocy Jego cząsteczką!

Nie masz mnie co straszyć Jego gromem,  
Sam byś z rozpaczy umarł,  
Gdybyś z tego, co mi jest wiadome,  
Choć setną część rozumiał!

Klniesz, bom dotknął cię promyczkiem samym,  
Nierównym tym płomieniom  
Żaru, w którym On i ja mieszkamy  
Nad czasem i przestrzenią.

Wokół oczu rozsunę ci nieco  
Twój czarny welon wdowi:  
Spójrz na ziemię, którą on obiecał  
Ojcu Abrahamowi!”

Cały zachód rozświecił się łuną  
I jak wzory dywanu  
Mojesz ujrzeć mógł z wysokiej góry  
Żyzny kraj Kanaanu.

Szepce doń towarzysz niewidzialny  
Objaśnienia uparte:  
”Widzisz w dole to czarne zwierciadło?  
Oto Morze jest Martwe.



A te szczyty po przeciwnej stronie  
Do niebieskiej powały  
Unoszące swe szeregi strome —  
To Karmelu są skały.

Spójrz na północ, tam gdzie szczyt Syjonu,  
Koczują Jebusyci,  
A zawołasz — to spod tego skłonu  
Głos Amorejczyk chwyci.

Tutaj w Martwe Morze się przemyka  
Srebrna Jordanu wstążka,  
A przy ujściu jego — straż Jerycha  
Żąda za bród pieniążka.

W swej dolinie lśni osamotniony,  
Lecz cisną się do niego  
Kananejczyk z przeciwległej strony  
I Ammon na tym brzegu.

Dalej na zachodzie górək sporo,  
Wyżynny kraj ponury,  
Od północy niewielkie jezioro  
I znów spiętrzone góry.

Masz tu Ziemię Obiecaną całą!  
Żnie jęczmień, owce pasie —  
Od Kadeszu do Karmelu śmiało  
W garści pomieścić da się.

Ani traktów tu nie masz dogodnych,  
Ani wyjścia na morze.  
Jak w ciasnocie tej naród swobodny  
Życ i płodzić się może?”



”Kto — tak prorok posępnie odpowie —  
Dobył wodę z kamienia,  
Przeobrazi w raj owo pustkowie  
Dla swojego plemienia.”

## XVIII

Znowu śmiech przytłumiony dobiegnie:

”Wiara góry przenosi!

Przypatrzyć się krocącemu szeregiem

Wszystkiemu, co przyjść musi!

Spójrz, nadchodzi twoje plemię z daleka,

Nurt Jordanu przekracza,

Wali mury Jerycha i w rzekach

Krwi — sandały swe macza.

Odtąd będą się bić przez stulecia

Na tym skrawku skalistym

Amoryci, lud Judy, Hetyci,

Z Amalekiem Filistyn.

Kraj Hebrejów! Wciąż płacz pod niebiosy,

Ile krwi i mozołu,

A wpływ wywrze na ziemi tej losy

Jako mucha dla wołu!

Ledwie na swej rozkwitnie gałązce,

Wnet doświadczy rozpadu,

Żeby znaleźć się — cząstka po cząstce

W paszczy możnych sąsiadów.

Patrz, tam zbrojni w Damaszku się tłoczą,  
Sunie wąż Gileadem  
Asyryjski, Hebrejom przynosząc  
Zgliszcza, gruzy, zagładę.

Patrz, jak krew wam zrumieniła pole,  
Trupów sterta się kładzie,  
Oto srogi Babilon się zwołał  
Ku judejskiej zagładzie.

Płonie ołtarz... I podobni ślepcom  
Albo i mrówkom ruchem  
Tysiącami do niewoli drepcą  
Skuci jednym łańcuchem.

Słyszysz płacz? To na ruinach płacze  
Ten, co szukał sposobu,  
Jak przed wrogiem ukorzyć się raczej,  
Niż zstępować do grobu.

A ten smród spustoszenia odczuwasz?  
Nie, znów brzask w Izraelu...  
Z tych, co wyszli tak licznie, zauważ,  
Jakże teraz niewielu!

Ale coś nieznanego dokoła  
Murów budzić się pocnie:  
Nowy lud, nowy Bóg, świętość nowa  
Rośnie w moc niewidocznie.

I tak rośnie i mrze, by znów ożyć  
I uchwycić się gruntu,  
Jak dziewięciśń się nisko rozpłóżyć  
I nie zaniechać buntu.



Nad tym ludem w trudzie pochylonym  
Ciągną burze historii,  
Rosną, walą się państwa i trony  
Jak korowód upiorny.

Zasię on upór w serca głębinie  
Nieugięty przechowa,  
A dla obcych — nienawiść jedynie  
I złorzeczeń ma słowa.

Ta nienawiść ze wszystkich najcięższa  
"Z racji innego Boga",  
Popatrz, jak się gnieździ i jak spiętrza  
Wokół świątyni proga!

Ta nienawiść też budzi. Komendy  
Z ust tyrana złowieszcze  
Każą wszystkie winnicy twej pędy  
Rwać z korzeniem raz jeszcze.

Słyszysz łoskot? To dzwoni żelazo  
Śmiercionośnych legionów,  
Co na pola spadają zarazą,  
Depcą zieleń zagonów.

Słyszysz chrzęst? Od judejskiej krwi mokry  
Miecz do pochwy się klei.  
Słyszysz krzyk? Dzikie konie powlokły  
Panny młode z Judei

Matki oszalałe zjadać będą  
Dziecko rodzone — z głodu.  
Patrz, tysiące na krzyżach rozpięto —  
Kwiat twojego narodu.

Jeszcze raz świątynia Jahwe spłonie,  
Tym razem — ostatecznie:  
Bo co raz pokruszą owe dłonie,  
Zostaje w gruzach wiecznie.

Jeszcze raz niedobitki jak rzeka  
Do niewoli popłyną,  
Ale odtąd nikt na nich nie czeka  
Z Obiecaną Krainą.

I zgaśnie gwiazda Izraela,  
By nigdy nie zaświecić,  
Lecz nienawiść, która się udziela,  
Krążyć z nim będzie w świecie.

Wątpisz? Ty, któryś cały jest wiarą  
Jako mur niezachwianą?  
To jest raj, który czeka twój naród  
Z ziemią przyobiecaną!

Natrudziłeś się dlań! Więc odpowiedz:  
Warto było? I po co?  
Pewnie znów by się zbliżył ku tobie,  
Chcesz się modlić gorąco?

Mojżesz zmalął i z bólem zawoła:  
"Biada mnie nieszczęsnemu!  
Czyż na wieki sądzona niewola  
Narodowi mojemu?"

Twarzą przypadł do ziemi: „Oto nas  
Bóg na dudków wystrychnął!”  
I jak echo tych słów, śmiech demona  
Rozrechotał się rychło.

## XIX

Zagrzechotał grom z niebiosów głębi,  
Wstrząsnął góry do krańców  
I przemknęły po niebie zastępy  
Najwyższego przedślańców.

Cały strop niebiosów półkoliście  
Czarna zaległa chmura  
Jakby zasępiła nienawiścią  
Brwi matka Noc ponura.

Ognistymi oczyma w ciemności  
Zamigotała drobno  
Jak zgorszona matka, która w złości  
Poskramia córkę krnąbrną.

Mojesz wysłuchiwał z niepokojem  
Sporu chmur i błyskawic,  
Żadna nie zdołała w głosie swoim  
Głosu Pana objawić.

Oto piorun nad górami zagrzemiał.  
Serce stygnie jak martwe,  
Najeżyły się włosy... Jednakże  
Nie ma tu głosu Jahwe.

Miedzy skałą wyje wiatr zawzięty,  
Co przejmuje wraz i odpycha  
Niby jęk potępieńca... Niestety,  
Głosu Jahwe nie słyszeć.

Tu deszcz z gradem nawraca co chwilę,  
Ziąb drętwością ogarnia  
I powoli ulega bezsile  
Duch sterany w męczarniach.

Ścichło, jeno strumyczki się toczą  
Jakby z żalości łkały,  
Ciepły wietrzyk woniami przyprósza  
Z terebintem migdały.

Niżli wietrzyk ów cichsza i lżejsza  
Mowa myśl zastanawia,  
Dosłyszało ją serce Mojżesza:  
Tak, to Jahwe przemawia.

"Zatem odrwił was Jahwe? A tyżeś  
Kontrakt dłonią przybijał  
I podpisał się na nim, i litkup  
Przy gromadzie wypijał?

Czytasz w księdze mej i należycie  
Jużeś sens jej poimał,  
Zgadł jej koniec i wiesz, że Stworzyciel  
Słowa ci nie dotrzymał?

Niedowiarku, jeszcześ nie był niczym  
W łonie własnej macierzy,  
A jam każde tve tchnienie policzył,  
Każdy włoszek twój zmierzył.

Nieprzestronna dla cię ziemia własna,  
Nie dość skarbów w niej błyska?  
Zapomniałeś, jak wąska i ciasna  
Bywa wielkich kołyska?

Kiedyś was wyprowadzę z niej pierwszy  
W trudną drogę po świecie,  
Tak jak matka, gdy czas już, od piersi  
Miłe odstawia dziecię.

Na tych tu kamienistych poletkach  
Jak tarnina u ściany  
Dorósć macie żyłaści i krzepcy  
Do jutrzejszej przemiany.

Znam ja waszą prężność nadzwyczajną  
I wasz upór żylasty!  
Wy byście się w ziemię urodzajną  
Wkorzenili jak chwasty.

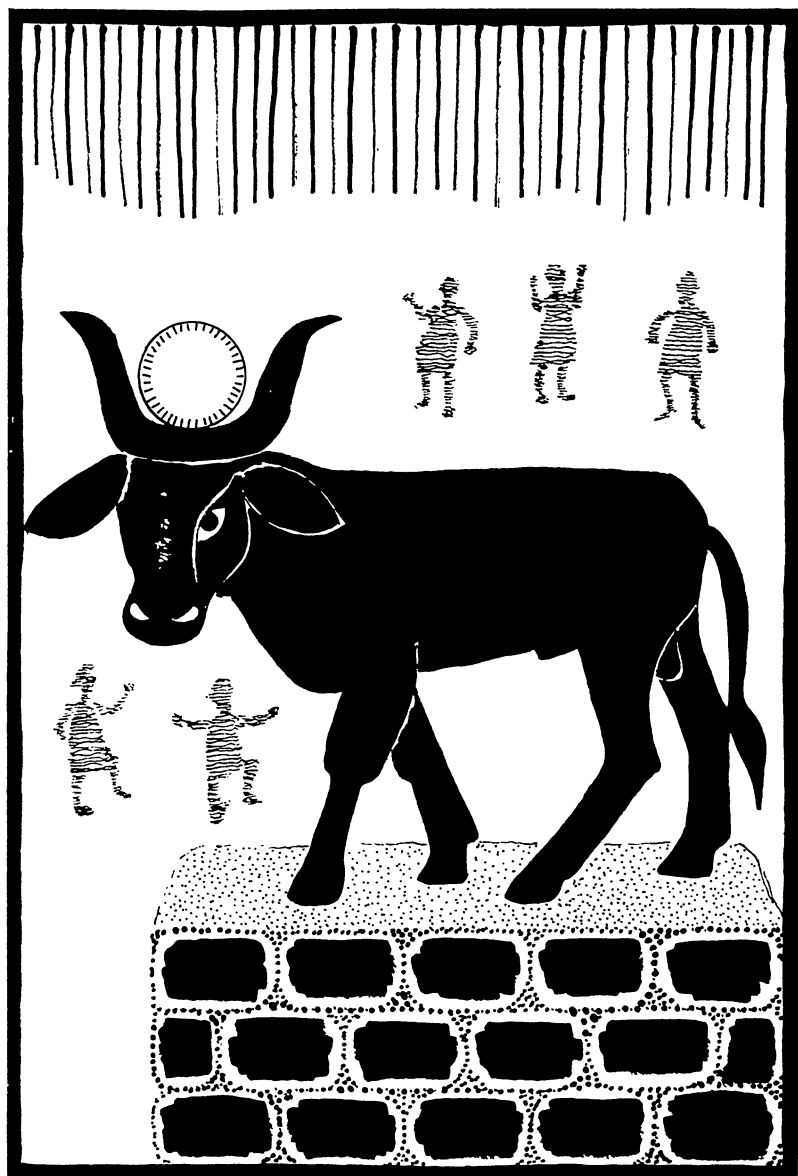
Wy byście wraz na duchu i ciele  
Wrośli tak w owe skiby,  
Już by w sieci was miał Złoty Cielec  
Ociężałych jak ryby.

W jarzmo kark podawaliście w nomach  
Obżerając się chciwie,  
Po wiek wieków trwać będzie oskoma  
Po egipskim mięsiwie.

Jak przystało uchodźcom i zbiegom  
Uwolnionym od karbów,  
Znów ruszycie na świata całego  
Podbój soków i skarbów.

Jednak pieczęć naznaczy i piętno  
Wszystkie wasze zdobycze:  
Niczym żmije na skarbach twych legną  
Troski oraz gorycze.





Kto zdobędzie wszystkie skarby ziemi  
I nad wszystko pokocha,  
Ten się w niewolnika ich przemieni  
I utraci skarb ducha.

Pan i sługa bogactw, jakie wszędzie  
Z potu i krwi wyżenie,  
Chcąc pomnożyć je, sam musiał będzie  
Podcinać ich korzenie.

Jak pijawkę, co lecząc ssie cudzą  
Krew, zanim sama szcześnie,  
Złote fale również was wyrzucą  
Zbędnych już, na mieliźnie.

Nękać będzie w złotym oceanie  
Moc pragnienia niezbyta,  
A i złoty chleb nie będzie w stanie  
Was nakarmić do syta.

Świadkiem żywi będziecie i w grobach  
Pośród ziemi biegunów,  
Że ze wszystkich was jam upodobał  
Jeno ducha piastunów.

Kto wam chleba da z ziemskiej piekarni,  
Z chlebem pójdzie gnić w mierzwie,  
Ale ten, co was duchem nakarmi,  
We mnie wraz się przedzierzgnie.

Oto waszej Obiecanej Ziemi  
Nieskończoność i przepych,  
A tyś do niej Izraela plemię  
Jako ślepy wiódł ślepych.

Oto wasza ojczyzna promienna  
Dla was i waszych dziątek!  
A' tutejsze nad Jordanem lenna  
To jej skromny zadatek.

Sen to będzie i wspomnienie wasze,  
Wizja powracająca,  
Aż szukając jej lud mój opasze  
Okrąg ziemski do końca.

A ty, iżeś zwątpił i nie pojął  
Mej boskiej obietnicy,  
Obejrzałeś już ojczyznę swoją,  
Lecz nie przejdziesz granicy.

Tutaj także kości twe zetleją  
Na wzór i ku przestrodze  
Tym, co póki życia prą do celu  
I umierają w drodze!"

## XX

Smutek snuje się po łysej górze,  
Mgła pustynię zaściela,  
Po ubogiej stęsknionej naturze  
Zadumę rozpościera.

Kwiatów, liści przesypuje stosy,  
Co już dawno pożółkły,  
Z głębi duszy wywołuje głosy,  
Co już dawno zagłuchły.

Jakaś sprawa obojętna wczoraj  
Dziś jest cenna i bliska,  
A to, z czym żeś na zabój wojował,  
Blask świętości uzyska.

Niespokojnie w hebrajskim obozie  
Nocne straże mijały.  
Skoro świt, patrzą wszyscy: Jest może  
Tam, na szczycie tej skały?

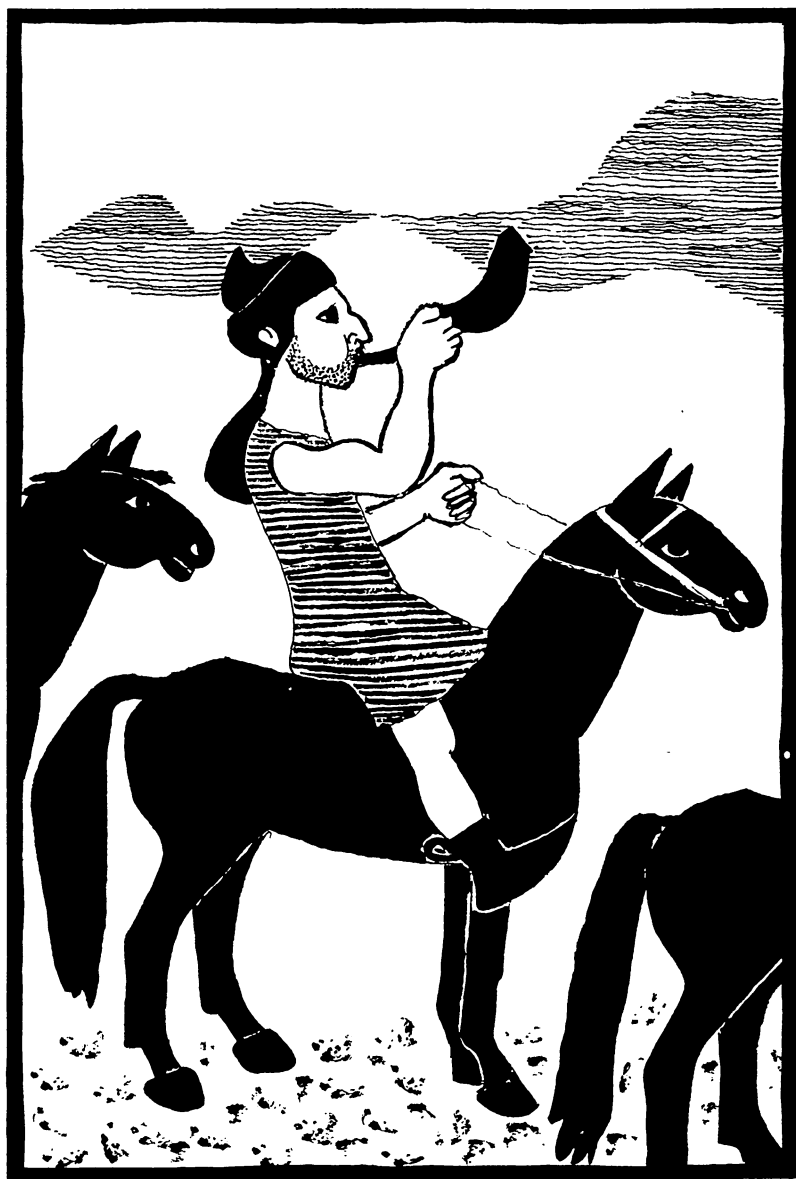
Nie ma go! I powiało to „nie ma”  
Jak śmiertelna obawa,  
Bo wiedzieli: coś znikło, bez czego  
Żaden żyć nie ma prawa.

Co nieznacznie, nieuchwytnie, stale  
Między nimi gorzało,  
Co im życie przyniosło w udziale,  
I świeciło, i grzało.

Ogarnęła ich skrucha bez miary  
Za tę ich zatwardziałość  
I pogrążył się lud jak przez czary  
W odrętwienie i żalność.

Długo się wpatrywał i boleśnie  
Jeden w lico drugiego  
Jak mordercy, co zgładzili we śnie  
Kogoś im najdroższego.

Słysząc tentent. Czyżby step się ruszył,  
Jak wrócono od dawna?  
To z Jozuem, księżciem koniuszych  
Młódź do boju zaprawna.



Pędzą stada i z obozu śpieszą,  
Zali gdzie wróg się sroży?  
Bezimienny lęk zawisł nad rzeszą  
Jako ten palec Boży.

Głód duchowy i lęk przed otchłania  
Samotności ich goni...  
A tu grzmi Jozuego wołanie:  
"Wyruszamy! Do koni!"

Niby orzeł ze skrzydeł rozmachem  
Wzbił się krzyk nad tłum niemy  
I o góry obilo się echem:  
"Ruszać czas! W bój idziemy!"

Jeszcze chwila — i zbudzą się wszyscy  
Z nową wiarą i siłą,  
I nikt wiedzieć nie będzie, co raptem  
W jego serce wstąpiło.

Jeszcze chwila — i krzyk Jozuego  
Tysiącami brzmi głosów  
I przywraca niemrawym włóczęgom  
Godność ludu herosów.

Zadną w róg, zadymi droga sama  
Jak wyzwanie przed rzeszą,  
I ukamienują Abiramą,  
A Datana powieszą.

Poprzez góry fruną niczym ptacy,  
Jordan w biegu osuszają  
I trąb graniem jerychońskiej twierdzy  
Mury niczym lód skruszają.

I pobiegną w wieków zawieruchy  
Wciąż w tęsknocie i trwodze,  
By prostować w biegu ścieżki ducha  
I umierać po drodze...

Lwów, styczeń — lipiec 1905

przełożył Jerzy Litwiniuk  
luty — marzec 1991





## IWAN FRANKO

Drugi po Tarasie Szewczence.

Pierwszy z ziemi, której ponad wszelką wątpliwość przypadła rola Piemontu dla pięćdziesięciomilionowego dziś państwa i narodu ukraińskiego.

Urodzony 27 sierpnia 1856 roku we wsi Nahujewicze powiatu drohobyckiego, syn wiejskiego kowala. Ojciec z kolonistów niemieckich, matka z drobnej szlachty miejscowej.

Sześćdziesiąt lat życia, ponad pięć tysięcy pozycji bibliograficznych w różnych językach, z tego — bagatela! — ponad tysiąc po polsku. Poezja, proza i dramat, krytyka literacka i folklorystyka, działalność naukowa i publicystyczna, nie mniejsza w dziedzinie przekładów — i to przeważnie klasyki orientальной i starożytnej.

Bez względu na imponujące wymiary tej postaci, nie sposób oderwać ją od tego wszystkiego, co streszcza się w słowach Ewangelii: „Dosyć ma dzień swojej biedy”.

Wbrew sielankowym za mgiełką lat wizjom złote-go wieku w Galicji — był on brzemienny w nieuniknione procesy społecznej i językowej emancypacji i wynikające z nich konflikty. Nędza Galicji była gdzieś niegdzie pozłacana, ale na nieurodzajnych górkach i w nizinach społecznych — jednoznaczna. Przeciwno sobie najeżały się lokalne wspólnoty sąsiedzkie i elity kulturalne. Nagromadziło się kamieni obrazy łącznie z późniejszymi krwawymi porachunkami dwóch wojen światowych. Do dziś dnia odzywają się głosy kauzyperdów nie pogodzonych z historią i żądających od niej przeprosin. Cóż

— dla ludzi pewnego pokroju liczy się tylko to, co wewnątrzplemienne, nasze. Czego nie raczymy za-  
uważyć, zaaprobować — to nie istnieje. Nie dziwny  
się przeto, że do dziś tak mało wiemy o zjawisku,  
któremu na imię Iwan Franko.

Ktoś taki jak ja, co raptem przełożył jeden utwór,  
cóż może sądzić o całości dorobku, wydanego w Ki-  
jowie w latach 1976-1986 w pięćdziesięciu tomach,  
i to niekompletnych z uwagi na wścibstwo ówczes-  
nej cenzury? Przed laty wpadły mi w ręce dwie  
powieści „Borysław się śmieje” i „Zachar Berkut”,  
ale nie dały mi one pojęcia o możliwościach autora.  
Już chyba raczej próbki jego publicystyki, nacecho-  
wane obiektywizmem i umiarem, jak recenzja z je-  
go książki „Ukraina irredenta” czy artykuł „Za  
meżamy możływoho”, które nie trafiły do wydań  
zbiorowych.

Musiałem zgadywać, iść za węchem, za intuicją.  
U kogoś bardziej obeznanego ode mnie podchwyci-  
łem słowo klucz: „zatorkanist”. Coś, co mierziło  
pisarza, z czym wojował przez całe życie.

Niełatwo je znaleźć w słownikach, bo to galicyj-  
skie, lokalne (zahukanie, zacukanie, zaszczucie). Aż  
dziw, że kiedyś tak szerokie miało zastosowanie.  
Oznaczało bowiem sytuację psychiczną mieszkańca  
tej ziemi — chłopą pańszczyźnianego, wyzwolenca,  
wolnego najmity, niepiśmiennego, mnącego czapkę  
w rękę i zapominającego języka w gębie.

W towarzystwie mówiło się po polsku, w urzędzie  
po niemiecku, z drugiej strony gór po węgiersku,  
choć i tam można było się dogadać z chłopem,  
miasteczko szwargotało, cerkiew pobrzmiwała  
starocerkiewnym, kościół łaciną, a synagoga jesz-  
cze inaczej...

Na pewno od ojca nasłuchiwał się resztek niemczyz-

ny, od matki polskiego, łaciną w obfitości karmiły galicyjskie gimnazja, więc nie groziła mu niemota... Czemuż to wybrał sobie akurat ten „gorszy” język? Dlaczego stał się jednym z jego najwytrwalszych budowniczych, kamieniarzem z łyczakowskiego pomnika?

Chyba z tej samej racji, z jakiej za młodu trzykrotnie siedział za socjalizm. Opiewał później tę ciupę w sonetach, formie zastrzeżonej dla najsubtelniejszych materii... Przekora. W jednym z późnych zbiorów wierszy określił się jako SEMPER TIRO — wieczny debiutant.

Nie pomogły kontakty międzynarodowe, uzyskane stopnie naukowe, opinie znawców — tutaj, na miejscu, wszystko to było traktowane niechętnie i nieufnie przez obrońców starego porządku. Ponoć właśnie ta młodzieńcza odsiadka stała się kanoniczną przeszkodą w objęciu docentury na uniwersytecie noszącym dziś jego imię...

Przez całe życie płynął pod prąd, narażał się i obrażał możnych tego świata — wiedziony głodem prawdy i sprawiedliwości. I mimo narastania antagonizmów środowiskowych przez całe życie łączyła go przyjaźń z jednym z najwybitniejszych Polaków owego czasu — Janem Kasprowiczem. Było coś wspólnego w ich wybijaniu się z nizin na szczyty hierarchii duchowej, a także w fascynacji motywami poezji biblijnej. Tenże Kasprowicz odprowadził Frankę w roku 1916 na miejsce wiecznego spoczynku. Autor „Marchołta grubego a sprośnego” i wiersza „Rzadko na moich wargach” też nie często trafia do kanonu zalecanych lektur.

Do tych samotniczych zmagania w zamkniętym światku galicyjskim oszołamiający ciąg dalszy dopisuje historia.

Iwan Franko był ojcem trzech synów. Z książki „Aksjomy dla naszczadkiw” wydanej przez lwowski „Memoriał” w r. 1992 dowiadujemy się o dwóch — Tarasie i Petrze. Obaj zaczęli jako sportowcy, Petro, najmłodszy, rocznik 1890, jako chemik ukończył Politechnikę Lwowską, jako lotnik brał udział w I wojnie światowej, jako strzelec siczowy trafia do niewoli u hallerczyków, wymyka się z niej za cenę złotego pierścionka, wraca do Lwowa, wykłada na tajnym uniwersytecie ukraińskim, za radą dawnego preceptora — Ignacego Mościckiego w roku 1931 wyjeżdża z grupą inżynierów polskich do Charkowa...

W tymże Charkowie w r. 1936 zażądano odeń przyjęcia obywatelstwa sowieckiego. Z trudem się wykręcił, wraca do Lwowa, pisze własne utwory, ale i przekłada z angielskiego na ukraiński, z ukraińskiego zaś na polski ojcowski poemat „Iwan Wyszeński”. Niestety miał okazję wypowiedzieć się o głodzie na Ukrainie...

W roku 1939 Ignacy Mościcki stara się dla niego o wyjazd do Japonii planowany na 20-25 września.

Wiemy, co stało się już siedemnastego. Nowa władza honoruje niedoszłego uciekiniera stanowiskiem deputata do rady najwyższej i dyrektorstwem muzeum poświęconego pamięci ojca. Należy do osób „chronionych”. Podczas ewakuacji Lwowa w czerwcu 41 znika bez śladu w nieznanych okolicznościach wraz z członkiem akademii nauk Kyrilem Studyńskim, rzekomo od bomby lotniczej. Zapada głucho milczenie o nieboszczyku.

Gdzież tu pointa i to może optymistyczna? Ano ta, że można już dzisiaj dowiedzieć się coś nie coś o losach rodziny Iwana Franki.

*Jerzy Litwiniuk*

## SPIS TREŚCI

|                   |    |
|-------------------|----|
| Dlaczego? .....   | 7  |
| Prolog .....      | 11 |
| Pieśń I .....     | 13 |
| Pieśń II .....    | 16 |
| Pieśń III .....   | 19 |
| Pieśń IV .....    | 24 |
| Pieśń V .....     | 27 |
| Pieśń VI .....    | 32 |
| Pieśń VII .....   | 37 |
| Pieśń VIII .....  | 40 |
| Pieśń IX .....    | 44 |
| Pieśń X .....     | 48 |
| Pieśń XI .....    | 53 |
| Pieśń XII .....   | 57 |
| Pieśń XIII .....  | 60 |
| Pieśń XIV .....   | 65 |
| Pieśń XV .....    | 68 |
| Pieśń XVI .....   | 72 |
| Pieśń XVII .....  | 77 |
| Pieśń XVIII ..... | 81 |
| Pieśń XIX .....   | 86 |
| Pieśń XX .....    | 91 |
| Iwan Franko ..... | 97 |

Tytuł oryginału ukraińskiego: MOJSEJ  
Pierwsze wydanie: 1905, Lwów

Przełożył:  
JERZY LITWINIUK

Ryciny  
WISNA LIPSZYC  
Rysunek na okładce: Albrecht Dürer

ISBN: 83-900398-2-6

Wydanie wspólne: Burchard Edition, Warszawa, Podleśna 15  
& Zakład Wydawniczy TYRSA, Warszawa, Kościeliska 7

Copyright for this edition: Burchard Edition & ZW TYRSA  
Warszawa 1993

Skład komputerowy: Zakład Wydawniczy TYRSA, Warszawa, Kościeliska 7  
Druk i oprawa: Zakład Poligraficzny w Nadarzynie, Sitarskiego 9

Ten poemat największego ukraińskiego poety Iwana Franki był w całości przełożony na nasz język tylko raz — w 1913 roku, po czym niemal całkowicie zapomniany. Obecnie otrzymujecie Państwo „Mojżesza” w nowym, świetnym przekładzie Jerzego Litwiniuka i z ilustracjami wybitnej malarki Wisny Lipszyc.

Utwór Franki, choć napisany po ukraińsku, nie jest wolny od wpływów poezji młodopolskiej. Autor żył i tworzył we Lwowie, znał świetnie język polski, przyjaźnił się z polskimi artystami owego czasu (1905), zwłaszcza z Janem Kaspro-  
rowiczem.

Motywy biblijne były natchnieniem dla wielu artystów w ciągu prawie dwu tysięcy lat. Franko nawiązał do starotestamentowej opowieści o Mojżeszu i niedoli narodu żydowskiego. Motyw ten przetworzył, bowiem opowieść kończy się nie zwycięstwem, lecz klęską nie tylko Mojżesza, lecz i narodu wybranego. W poemacie Franki chodzi zapewne o naród ukraiński, cierpiący, pozbawiony wolności i praw. Ale każde wybitne dzieło artystyczne ma wymiar uniwersalny. Tak jest i w przypadku „Mojżesza”. Można w symbolikę utworu podstawić każdy naród zniewolony i cierpiący, a więc na przykład także ówczesnych Polaków — i wówczas poemat będzie bliski każdemu...

34/82

